PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17
Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Pro Christo

W hołdzie Piusowi XI-mu.

Mija już lat jedenaście, gdy Namiestnik Chrystusowy, niestrudzony bojownik sprawiedliwości i pokoju pośród światowego huraganu walki i nienawiści, zawezwał do siebie skromnego prałata rzymskiego, który całe swe dotychczasowe życie poświęcił cichej pracy wśród pamiątek mądrości ludzkiej wieków poprzednich i na uczonych rozprawach z mężami nauki i rzekł mu głosem natchnionym: Idź na północ w imieniu Chrystusa—idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów! Jest tam naród skrzywdzony i rozdarty. Idź i bądź mu Mistrzem i Ojcem, albowiem przyszedł czas jego zmartwychwstania i naprawienia wiekowej zbrodni nad nim spełnionej!

Prałatem tym był Bibljotekarz Watykański, Achilles Ratti. Posłuszny rozkazowi uczony mąż porzuca swoje zacisze, ojczyznę jeszcze walczącą i matkę, staruszkę blisko dziewięćdziesięcioletnią i idzie na północ do swej nowej ojczyzny, na nieznane gościńce Opatrzności, której ufał zawsze bez żadnych obaw, ani zastrzeżeń. Pierwsze kroki swoje skierował do stóp Królowej Korony Polskiej na Jasnej Górze, jej się prezentując przedewszystkiem, bo nie było w Polsce prawowitej władzy państwowej i u Niej prosząc o błogosławieństwo na przyszłe swe poczynania.

Po przybyciu do stolicy ukazuje się na ulicach z monstrancją w ręku, w czasie uroczystej procesji Bożego Ciała, którą sam celebrował. „Przyszedłem do was — mówił później— niosąc w rękach moich Chrystusa". Fakt ten stał się nieomal symbolem w Jego do nas stosunku. Dokądkolwiek się zwrócił, niósł ze sobą Chrystusa, pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowem—co wziął sobie później za hasło Swego najwyższego pontyfikatu, jako Papież, Pius XI-ty.

Spotkanie z Episkopatem polskim nastąpiło w krótkim czasie na konferencji dorocznej, której przewodniczył.

O tem tylko myślę, — powiedział do zebranych książąt Kościoła—abym był towarzyszem prac waszych i sługą waszym; jeżeli co mogę, jeżeli do czego jestem zdolny, jeżeli co mam, szczęśliwy jestem, że mogę wam ofiarować, dać, poświęcić.

Oby mi danem było uczynić coś dla was, owszem, cierpieć za wasze chrześcijaństwo, które pawstało z krwi męczeńskiej tylu ojców i synów.

Pragnienie Jego spełnionem zostało aż nadto dosłownie. Obok wielkich radości, jakich doznał wśród nas przebywając, cierpiał wiele, bardzo boleśnie i to od tych, do których przyszedł z sercem otwartem i gotowem do wszystkich poświęceń. Zanim jeszcze przybyły Wizytator Apostolski rozpoczął na szeroką skalę swe prace, bieg wypadków historycznych z zawrotną szybkością sprowadził przewroty polityczne epokowego znaczenia, a jednym ze skutków ich była wolna i niepodległa Rzeczpospolita Polska.

Stolica Święta, jakby czekając na ten moment dziejowy, w pierwszej zaraz chwili pośpieszyła aktem oficjalnym uznać ten wyrok Opatrzności, wznawiając po latach 130-tu przerwy Nuncjaturę Apostolską w Warszawie i mianując pierwszym Nuncjuszem w Polsce zmartwychwstałej Monsignora Achillesa Rattiego, nadając Mu jednocześnie godność arcybiskupa Lepantu.

Konsekracja biskupa—to uroczyste zaślubiny nowego dostojnika z kościołem.

Na ten, tak decydujący akt w Swem życiu, nowy Nuncjusz nie odjechał do Rzymu, ani rodzinnego Medjolanu, lecz całą duszą oddany nowej swej ojczyźnie, w Polsce i z rąk pol-

skich biskupów przyjął sakrę biskupią i nazywał odtąd sam siebie polskim biskupem, jak później nazwano go, nie bez pewnej dozy zazdrości „Polskim Papieżem" — „Il Papa Polacco", czemu on nie zaprzeczył nigdy.

Teraz już, niekrępowany władzami okupacyjnemi, a pozostając w najserdeczniejszych i na pełnem zaufaniu opartych stosunkach z prawowitą władzą Rzeczypospolitej, rozpoczął Nuncjusz Ratti wszechstronną akcję, zmierzającą do uporządkowania i ustalenia stosunków kościelnych w Polsce i do współpracy nad dobrem całej Rzeczypospolitej.

Rozpoczął od gruntownego poznania terenu swych prac, objeżdżając całą Polskę wszerz i wdłuż, odwiedzając stolice biskupie i ważniejsze ośrodki prowincjonalne, pielgrzymując do stóp Jasnogórskiej i Ostrobramskiej Pani i do grobów Patronów polskich. Studjował gruntownie język i literaturę polską, pragnąc się wczuć we wszystkie prądy i kierunki panujące i przeszłe. Mieszał się z tłumem wiernych, obchodząc kościoły warszawskie, ze wzruszeniem słuchając śpiewów wielkopostnych i biorąc udział lub celebrując nabożeństwa stołeczne, a nawet i na parafjach wiejskich wśród ludu, który mu imponował zawsze prostotą i szczerością swej wiary.

Dom Jego otwarty był zawsze dla każdego i stał się wkrótce ogniskiem myśli i gorliwości. Tysiące ludzi zachowuje do dziś dnia niezatarte wspomnienia choć kilku chwil, spędzonych na rozmowie z tym mężem bożym, tak pełnym głębokiej nauki i roztropności, a tak zarazem prostym, serdecznym i kochającym wszystkich. Nuncjatura promieniowała dokoła światłem mądrości i ciepłem miłości ojcowskiej.

Nuncjusz nie poprzestał na słowach życzliwości i miłości. Wyszedł na ulicę, do bezdomnych, opuszczonych i sierot, do chorych w szpitalach, ochronach i schroniskach przeróżnych, niosąc nietylko swój uśmiech i błogosławieństwo, ale i pełne ręce darów w naturze, których mu nie skąpiła Stolica święta, a i jego niezmordowana gorliwość wynajdywała jakby z pod ziemi. Trzeba go było widzieć, jak otoczony dziatwą ubogą, lub młodzieżą szkolną, wzruszał się do łez i cały stawał się ich ojcem i matką i wszystkiem.

Takie chwile przeżyte razem wiążą nazawsze.

Lecz nie tu był koniec tego braterstwa serc.

Przyszły dni grozy roku 1920, gdy wróg już się dobijał do bram stolicy i lada dzień mógł je skruszyć i wtargnąć na ulice miasta, gotując nowy potop krwi i zbrodni.

Przedstawiciele dyplomatyczni obcych państw opuścili Warszawę, szukając bezpieczniejszego schronienia. Nie uczynił tego jednak przedstawiciel Stolicy Apostolskiej. Nie pozwoliło mu na to jego bohaterskie serce, wbrew wszelkim głosom rozsądku. Jakżeby mógł opuścić tych, których prawdziwie umiłował, w chwili tak tragicznej? Powiedział przecież na wstępie, że gotów jest poświęcić im wszystko. I poświęcił—pozostał nieustraszony na stanowisku. Wyszedł do ludu, by go krzepić wiarą w niezwyciężoną moc Boga, chcąc dzielić wspólny los wszystkich, jako ich brat i współobywatel.

Tej ofiary Polska nie zapomni nigdy Piusowi, a i On nie zatrze w swej duszy nigdy wspomnień z owych dni tragicznych. Przetrwał na stanowisku, jakby prawdziwy syn tej ziemi, jako bohater obowiązku miłości.

I znowu potoczyły się dni pełne cichej pracy, z których każdy dodawał nową cegiełkę do mozolnej budowy życia kościelnego w Polsce.

Owocem tych prac była rekonstrukcja i uzupełnienie hierarchji kościelnej w Polsce, wznowienie dawniej przez rząd zaborczy skasowanych diecezyj: podlaskiej, kamienieckiej, mińskiej i ryskiej, erygowanie nowej diecezji łódzkiej i łomżyńskiej, przygotowanie do erekcji diecezyj górnośląskiej i gdańskiej, a w życiu państwowem, opracowanie i przygotowanie materjałów do konkordatu Rzeczypospolitej ze Stolicą Swiętą, zawartego później, gdy bezpośredni twórca stał się jego sygnatarjuszem, jako Papież Pius XI-ty.

Oprócz spraw polskich, na mocy mandatu Ojca ś-go, objechał Nuncjusz Ratti Litwę, Łotwę, Estonję i Finlandję, poznając wszędzie stosunki panujące i oficjalnie przygotowując grunt do najbliższych umów Stolicy ś-ej z nowemi republikami.

Serdeczną troską, pełną bolesnych przewidywań, zaciąży nad heroicznym Nuncjuszem mandat Delegata Apostolskiego nad terenami plebiscytowemi na Górnym Śląsku. Truność sytuacji politycznej powiększał fakt, że Arcybiskup Wro-

cławski, w którego diecezji leżały kwestjonowane obszary, był Kardynałem, a jako Niemiec nie zdobył się na oddanie jurysdykcji delegatowi Apostolskiemu i bez porozumienia z nim, a w czasie jego bytności na Śląsku, wydał słynne rozporządzenie, zabraniające duchowieństwu wszelkiej akcji polityczno-narodowościowej, co godziło przedewszystkiem w kler polski, który był dla ludności polskiej wyrocznią we wszystkich sprawach. Czynniki wrogie Kościołowi wykorzystały ten moment, by opinję publiczną poruszyć przeciw Nuncjuszowi, prowokując smutnej pamięci interpelację sejmową i szereg nieuczciwych artykułów w prasie.

Polska katolicka nie zareagowała w należyty sposób i nie zdobyła się na należną ekspjację bardzo boleśnie w swych uczuciach dla narodu polskiego dotkniętego Nuncjusza.

Przebolał to w ciszy i chciał zapomnieć o wszystkiem, pozostając niezmiennym w swem sercu. To było większe jeszcze bohaterstwo niż w tamte pamiętne nazawsze dni.

Wypadki znowu poszły dalej w zawrotnem tempie.

Osierocona po śmierci świątobliwego Kardynała Ferrari stolica arcybiskupia w Medjolanie domagała się dla siebie na Pasterza Nuncjusza z Polski.

Papież nie mógł odmówić tego medjolańczykom.

Nuncjusz Ratti, żegnany niekłamanym żalem, opuścił, jako kardynał-nominat Polskę, w. której tyle wielkich dni swego życia przeżył.

Nie zdążył jeszcze rozpocząć szerszej akcji na nowym swym posterunku, gdy wolą bożą powołany został na najwyższą godność Namiestnika Chrystusowego na ziemi, następcy ś-go Piotra na Watykańskim tronie, na którym zasiadł jako Papież Pius XI-ty.

I na tych wyżynach nie zapomniał i nie zapomina nigdy o Polsce, darząc ją i Polaków Swą szczególną życzliwością, czego już powielekroć dał nieomylne dowody.

Dziś, gdy cały świat katolicki chyli się do stóp Piusowych, by mu, z okazji pięćdziesięciolecia jego kapłaństwa, okazać swą cześć, podziw i przywiązanie,—Polska pośpieszyć winna pierwsza, by jak jeden mąż stanąć u boku tego, który był jej aniołem Pokoju i przyjął na siebie w krwawym chrzcie i ofierze obowiązku i poświęcenia jej prawdziwe obywatelstwo

i złożyć Mu nietylko serca wdzięczne, ale i czyn na Jego wskazaniach oparty.

Niech w każdym domu polskim wśród rodzinnych portretów i obrazów świętych zawiśnie wizerunek tego najbardziej wypróbowanego Przyjaciela i Ojca narodu, niech każde dziecko wymawia ze czcią i zrozumieniem imię Piusowe, a w sercach wszystkich, bez różnicy przekonań i poglądów, niech zapanuje jedno uczucie uwielbienia i wdzięczności, potwierdzone pamiętnym na całą przyszłość czynem. *Ks. A. Bogdański.*

APEL.

Hej, idźmy w górę, wzwyż,
wspinajmy się coraz wyżej,
ponad szarzyznę codzienną,
pełną błądzenia, upadków!..
Hej, pnijmy się pnijmy
coraz wyżej, coraz dalej,
bo już czas wielki!..
O, czas już porzucić materji niziny,
kędy błądzimy bez celu,
a conajrychlej trza zacząć się wznosić
ku górze kędyś —
na ducha wyżvny,
gdzie orły nigdy się podnieść nie mogą!...
O, czas już, czas już, czas
rozpocząc tę trudną wędrówkę!...
Czas wspinać się wzwyż
po stromej ścianie,
iżby się wedrzeć na wyże duchowe!...
Hej, idźmy społem na górne szczyty,
porzućmy ten niż doczesności,
kędy błąkamy się dotąd!...
Hej, wspinajmy się bez trwogi,
z wytrwałością, bez obawy,
gdyż tam nas czekają gody,
nie te podłe, marne, ziemskie,
ale z Bogiem obcowanie,
słodsze, niźli słodycze ziemskiego okręgu!...
O, nie wahajmy się ni chwili,
nie lękajmy się niczego:
nasze będzie zwycięstwo,
bo z nami tylko jest stale
dawca łask wszelkich, Chrystus Pan!... **J. M. Ch.**

RELIGJA I MORALNOŚĆ.

Boski Bohater.

Wielki Piątek — dnia 29 marca.

Dobiegały już swego kresu drogi boskiego Wędrowca i Pracownika na ziemi, Chrystus i jako Bóg wszechwiedzący i jako głęboki psycholog i działacz wiedział z pewnością matematyczną, że nieuniknioną już jest tragedja jego apostolstwa. Przygotowanym był zresztą na nią zupełnie, co więcej, oczekiwał jej z gorącem upragnieniem duszy i umiłowaniem serca.

Lat już trzydzieści trzy stąpał po ziemi żydowskiej. Przeszedł ją wszerz i wzdłuż, głosząc dobrą nowinę, czyniąc na każdy dzień dobrze, ciesząc i radując wszystkich. A przed wiekami jeszcze, jakby stęskniony już wtedy do bezpośredniego obcowania z tymi, którzy byli jego widomym obrazem na ziemi, postanowił to wszystko, przeżył w sobie i zachwycony wizją swej przyszłej epopei miłości, oczekiwał, mówiąc po ludzku, z radosną niecierpliwością momentu, gdy z bezbrzeżnego oceanu wieczności zstąpi na gościniec czasu i znajdzie się wśród tych, którzy byli jego najwyższem po Ojcu Niebieskim umiłowaniem.

Nie chodziło już tylko o ścisłe zadosyćuczynienie sprawiedliwości bożej za nierozum i nadużycie wolnej woli człowieka, bo to mógł spełnić jednym swoim uśmiechem, jako Nieskończony Bóg-człowiek, zresztą cała jego ziemska pielgrzymka była tylko wylaniem wezbranego miłością serca i jakoby jedną realną ekstazą bożego idealisty. Znał doskonale osłabioną przez grzech naturę człowieka, wiedział, ile w niej jest chorobliwej skłonności do zła, ile zaślepienia, a nawet przewrotności. Wiedział, na co się w swym entuzjazmie dla ludzkiej niedoli naraża. Ale On kochał tego człowieka takim, jakim niegdyś wyszedł z jego rąk twórczych i jakim miał powrócić później do jego Królestwa Niebieskiego, gdzie nań oczekiwało dostojne miejsce obok bożego tronu. Niedola i tragizm duszy człowieka poruszała go do głębi i pchała coraz

więcej na tę drogę „szaleństwa miłości". Nie chciał być tylko płatnikiem sprawiedliwości bożej, chciał jeszcze być Nauczycielem, Ojcem, Przyjacielem, Bratem i Organizatorem ukochanego ludu ziemskiego. Dlatego nie wstąpił odrazu do nieba z powrotem po jednym momencie pobytu swego na ziemi, dlatego wybrał żłóbek, a nie królewską kolebkę i dlatego pozostał całe lat trzydzieści trzy, ucząc, radując i organizując rzesze.

Mimo ubóstwa, mozołu, przepracowania, mimo niepojętności swych słuchaczy i natręctwa potrzebujących i cierpiących, mimo niesforności tłumów i nienawiści fałszywych mistrzów — dobrze mu było z nimi.

Zdawało się, że nie zmęczy się, ani wyczerpie nigdy. Nazewnątrz rzadko okazywał pełnię uczuć ludzkich, które w nim biły tętnem nigdy niemilknącem, kilkakrotnie pod wpływem wielkiego wzruszenia nie mógł powstrzymać łez, to znowu wybuchu świętego gniewu. Zawsze jednak opanowany zupełnie, pełen prostoty majestatycznej i przejasnego namaszczenia, szedł, płynął raczej z niezmąconym spokojem, czujny i wrażliwy na wszystko, ale bez żadnego niepowstrzymanego gestu, wybuchu, czy odruchu nieprzewidzianego. Lecz wewnątrz pełen był radości niepojętej wprost dla ludzi. Gdyby nie heroiczna siła woli, biegłby i krzyczał i całował wszystkich i cieszył się z nimi, jak dziecko, albo jak szalony. Ostatecznym owocem miłości w duszy każdej jest pokój i radość, a On żył miłością. Bez tej więc radości nie można pojąć duszy Chrystusa. Ile trzeba było mocy, by powstrzymać tę falę do najwyższego stopnia rozentuzjazmowanej duszy i by zbyt szerokiem otwarciem jej nie dać powodu do nadużycia tych niepojętych wprost dla ludzi przyziemnych szczytów duchowych. Tylko zdradzały go czasem oczy, nie umiejące milczeć i odbijające bezpośrednio wszystko co w nim pulsowało.

Te oczy Chrystusowe! Kto wejrzał w nie choć jeden raz—już od nich nigdy oderwać się nie mógł.

„A Jezus spojrzał nań..." Nie było wyższej mocy nad potęgę Jego spojrzenia... nie było skarbów, którychby nie rzucono dla nich... nie było opoki serca, którąby nie stajała, nie została skruszoną na proch... I szły za nim rzesze, jakby zmagnetyzowane i bogaci odchodzili od majętności swoich,

prostaczkowie porzucali swoje sieci, jawnogrzesznice stawały się pochodniami gorejącemi najczystszą miłością dobra.

Jemu jednak to wszystko nie wystarczało jeszcze. Ani szalony wir pracy, wysiłek wszystkich władz, ani umęczenie już prawie śmiertelne, ani nawet te wszystkie fale radości, które odeń szły na wszystkie strony i rozkołysanie morza dusz w promieniu ginącym na horyzoncie ziemi i czasu... to wszystko nie nasyciło jeszcze głodu Jego miłującej duszy. „Będziesz miłował... ze wszystkiego...!" — rzucił ten rozkaz wszystkim, którzy szli i mieli iść za nim. A to, co dotychczas zrobił i ofiarował jeszcze nie było wszystkiem... Jeszcze żył, jeszcze pulsowała w nim gorąca krew, jeszcze oddychał całą piersią, swobodny i nieograniczony w swych prawach, jako obywatel ojczystej ziemi. To miał jeszcze do oddania... Dopiero wtedy czułby się nasyconym i mógłby powiedzieć, że prawdziwie miłuje „ex toto", „ze wszystkiego". To też poprzez wszystkie radości każdego ofiarnego dnia przewijała się ustawiczna tęsknota za tym momentem najwyższej, ostatecznej ofiary, która stała mu się tak konieczną, jak kropla dżdżu dla wędrowca po upalnej pustyni, jak powietrze dla zamkniętego w dusznej norze więźnia, jak promień światła dla pracującego w czarnych czeluściach ziemi górnika... Miłość ma swoje prawa nieubłagane, a nie spocznie, dopóki nie dojdzie do szczytu napięcia i ofiary.

Czekał na ten dzień, jak na gody weselne, wpatrywał się weń, jak w jutrzenkę zbawienia, głoszącą najwyższe szczęście i najsilniejszy spazm radości i ekstazę miłości... I oto dobiegał już do upragnionej całą mocą swej duszy chwili, tej ofiary „ex toto".—Już był pożegnał swych towarzyszów i przyszłych współpracowników na Ostatniej Wieczerzy, już powierzył się im na zawsze, dając im moc sprawowania ofiary, która za chwilę miała się rozpocząć, już rzucił im ostatni testamentowy uniwersał: „potem poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie" — a teraz, skończywszy te wszystkie czynności Wodza, Nauczyciela i Prawodawcy, szedł, by dokonać ostatniego aktu, jako Najwyższy Kapłan-Ofiarnik i by zadosyćuczynić niepohamowanej potrzebie serca, miłującego ponad wszystko.

Ofiara się rozpoczęła. — Pierwszy jej etap omal, że nie

zniweczył wszystkich upojnych marzeń Jego duszy. By ofiara z ciała była pełną, dopuścił na siebie moment zwątpienia i zachwiania, pozwolił, by odstąpił od Niego cały zapał poprzedni, entuzjazm i żar miłości. Pod grozą tragedji stanęła Jego dusza sama, ogołocona ze wszystkich naturalnych uczuć miłości, gdzie rozum tylko i wola decydują twardo i nieubłaganie. — „Na co się zda krew przelana i ofiara ze wszystkiego, kiedy i tak będzie On zawsze znakiem, któremu sprzeciwiać się będą... In vanum... napróżno!"

Dopuścił jeszcze wszystkie uczucia broniącej się przeciw sercu natury, dążącej, ze swego prawa do życia, do spokoju i do wszelkiej sytości... Wzdrygnął się przed obrazem nieludzkiej zagłady tej natury, przed gwałtem brutalnym, który jej miał być zadany... A głos zwątpienia szeptał.. Dlaczego? wszak to napróżno?!

Poprzednie porywy i zachwyty dziś zniknęły bezpowrotnie. Dreszcz zimny, chłód rozumu i wstręt natury przejęły Go nawskroś i siłą ciągnęły wstecz od miejsca skazania, które w swej wszechmocy mógł skruszyć przez jedno oka mgnienie.

Była to chwila najgroźniejsza... próba ogniowa całego programu życia... Czy wyjdzie zeń zwycięsko? Kto go w tem wesprze...? „Ojcze, jeśli można, niechaj odejdzie odemnie ten kielich...!" — wyrwało się z głębi zmęczonej natury. Zmaganie rosło z każdą chwilą, niemoc własna rzuciła Go w proch ziemski, pot krwawy wystąpił na czoło i zmieszał się z ogrodowym pyłem... szarym, bezbarwnym i nieczułym... Obejrzał się dokoła... potrzebował tylko jednego słowa umocnienia od jakiej duszy przyjaznej. Matka była daleko, myśl o niej tylko wzmagała walkę: „Dlaczego chcesz ją osierocić tak boleśnie? Z pobliża dochodził tylko szmer śpiących uczniów.

Ach!... zerwał się z ziemi, na której leżał w konaniu walki — oni śpią i spać będą zawsze, mimo moich wskazań i nauk. — Ich obudzić mogą tylko krople krwi mojej ciepłej, spływającej w ich śnie na ich dusze, na oblicze, na ręce. To oni, których ukochał, z którymi tak trudno, ale tak dobrze było zawsze. Choćby cały świat później miał szydzić z Jego ofiary, ale tych trzeba obudzić, choćby ich garstka tylko później pozostała, choćby jeden jedyny. Dla nich... dla nieba!

Ożyła w tej myśli cała zmęczona dusza, jakiś prąd zelektryzował wszystkie opadłe już i wyczerpane mięśnie, przygasły wzrok, pustkę dawnego uczucia. Rozum w innem już świetle przedstawił racje ofiary, wola zapłonęła znowu jak żagiew nieodmiennem, ganitowem postanowieniem, uczucie wróciło znowu pełną falą i wypełniło spieczoną duszę i wyschłe serce. Chrystus stanął, jak dawniej, w całym majestacie swej miłości, jak król pustyni z rozwianą na jałowem tle bezwodnej, szkieletowej powierzchni, grzywą, gotowy... na wszystko... „ex toto".

A wtem u bramy ogrodu zajaśniały pochodnie, uczynił się zgiełk, tlum wtargnął w zacisze getsemańskie, a na czele kroczyi zdrajca, który podszedłszy do Chrystusa, złożył pocałunek sprzedajny...

Wszystko już poszło szlakiem przewidzianym oddawna.

Pierwsze uderzenia brutalne spadły na jego głowę i twarz, a On je przyjął w milczeniu ust i radości serca, albowiem były one początkiem ofiary „ze wszystkiego". Miał jeszcze, mimo krwawej walki wewnętrznej, jaką przed chwilą zwycięsko stoczył, wiele sił fizycznych, miał jeszcze swój honor niepokalany i aureolę chwały poprzednich dni, miał jeszcze na sobie szaty własne i wszystką jeszcze krew, oprócz tej, która kroplami zbiegła Mu wraz z potem w ogrodzie... Coraz więcej tych kropel padało od sznurów, któremi Go skrępowano, od zranień po kamieniach, na które Go w drodze do miasta spychano i rzucano. Ale cóż to znaczyło wobec wielkiego pragnienia Jego serca, by oddać wszystko?! Nastąpił potem sąd bluźnierczy i krzywoprzysięski, potem znęcanie się w więzieniu, zaparcie i nawrócenie Piotra, drugi sąd poranny, pośmiewisko Herodowe, targi o głowę Barabaszową i szantażowanie Piłata. Zdarto z Niego cześć, pluto w twarz, naigrawano się i znieważano w oczach wszystkich. Ale i to dla Niego było jeszcze niczem, jedynie tylko słabym wstępem do nasycenia pragnienia ofiary.

Zapadł wyrok... Teraz dopiero dusza Chrystusowa usłyszała potwierdzenie swych najserdeczniejszych marzeń i drgnęła z radości, jak ktoś, komu oznajmiono zbliżenie się chwili ukochanej.

Był naturalnym zupełnie w swoich głębokich przeżyciach. Miłość taka, jaką On miał, potężna, żywiołowa, najczystsza, bez cienia egoizmu, oddana bez skazy tym, których ukochała, mogła tylko, w swej psychicznej ewolucji doprowadzić do tego jakby zmagnetyzowania duszy ideą całkowitej ofiary.

Było to koniecznością wprost naturalną, spotęgowaną nadprzyrodzonym swym charakterem, poczuciem nieskończoności i boskością swego początku.

Gdy pierwsze razy ostrych biczów spadły na Jego odkryte plecy, krew trysnęła strumieniami, ciało wstrząsnęło się i skurczyło dreszczem bólu i śmierci. A On milczał, skupiony w swej duszy, jakby liczący tę krew, wyciekającą z żył, którą oddawał, wszystką, bez zastrzeżeń, na ofiarę im... których ukochał.

Miłość była silniejszą od wszelkich praw fizycznych, przemogła ból, kalectwo, śmiertelne rany i tryumfowała w swej radości niepojętej dla człowieka o ludzkiem tylko sercu.

Zdawało się, że każde ukłócie ciernia, każda wyrwana rana, strzępy ciała szarpane i bryzgi krwi, zamiast zabijać— wskrzeszały, zamiast udręczać — rozkoszowały, nie tą sadystyczną rozkoszą cierpienia dla cierpienia, ale rozkoszą cierpienia dla miłości, której już dusza objąć nie była w stanie.

Ciało omdlało i nawpół martwe usuwało się, zwisłe u słupa katowskiego, ale duch rósł, wzmagał się, przejaśniał i słoneczniał coraz potężniej.

A gdy Go wywiedziono na plac, okrytego szkarłatem brudnym, z królewską koroną cierniową na skroniach, sperlonych świeżą czerwienią krwi i kazano wziąć na zranione barki wielki, ciężki krzyż, przygotowany dla Niego—ukląkł, objął twarde drzewo obiema rękami, jak umiłowaną ludzkość, ucałował martwą, lśniącą biel swego ostatniego łoża na ziemi i hymn dziękczynienia, radości i tryumfu w duszy swej śpiewając, wziął słodki ciężar na ramiona i — poszedł na ostatnie gody.

Szedł, nie słysząc wrzasku tłumów, ani bluźnierstw, rzucanych Mu w twarz przez tych, którzy przedewszystkiem powołani byli do czci prawdziwego Boga i do wypełniania prawa miłości... jedna idea tryumfowała w jego duszy: oto zbliża się spełnienie jego najżywszych pragnień ofiary „ex toto". Byle

sił starczyło, byle nie uległ ograniczonym prawom natury i nie wyzionął ducha przed przybyciem na szczyt pierwszego ołtarza Nowego Zakonu na ziemi...

A drzewo krrzyża ciążyło bez litości, poszarpane ramiona uginały się bezwładnie, przejęte ostrym bólem od okropnego nacisku. —Pociemniało Mu w oczach — padł, oblany potem omdlenia. Ale natychmiast powstał, nietyle pod groźbą świszczących biczów, ile na tę myśl rozpaczną, że On musi wytrwać, musi dojść tam... do kresu. Zamajaczyły tuż przed Nim jakieś sylwetki. Spojrzał poprzez krew spływającą... Matka..! Ach, to było najboleśniejsze..! Ona cierpi... On nie chciał, żeby cierpiała, Onby jej drogę życia usłał różami i uśmiechem. Ale Ona Go rozumie tak dobrze i sama jest najbliższą jego ducha...

Zamienili jedno tylko spojrzenie, pełne najwyższej rozpaczy matki i niewymownego porozumienia we wspólnem bohaterstwie.

Poszedł dalej. Jeszcze raz upadł i trzeci, — ale duch przezwyciężył słabość śmiertelnie już umęczonego ciała. Musiał wytrwać, musiał dojść tam — i doszedł.

Zdjęto mu szaty, przywarłe do ran na całem ciele. Oddał je — a było to wszystko, co posiadał na własność. Tę szatę utkała Mu własna Matka. Już nie miał nic do oddania z rzeczy ziemskich.

Nagi.. wyciągnął ramiona na drzewie krzyża, podając oprawcom ręce i nogi. Była to jedyna chwila wytchnienia. Gwoździe zagłębiły się w dłonie i stopy, krew trysnęła znowu. On wiedział tylko to, że to już ostateczny tryumf Jego miłości.

Aż zawisł pomiędzy niebem i ziemią na czterech otwartych ranach w żywem jeszcze ciele...

Teraz dopiero spoczął... Już Mu nikt nie przeszkodzi, nikt nie dosięgnie z dołu — już wzniósł się ponad ziemię — ku niebu.

Radość, rozpierająca serce, nie pozwoliła mu zemdleć, mimo okropnego bólu... Zachował przytomność umysłu aż do ostatniej chwili. Schodził z tego świata, jak bohater z całą świadomością swego czynu.

Jeszcze Mu pozostało coś, bardzo drogiego, najdroższego na ziemi. Matka, która wiernie stała u Jego stóp, nie opusz-

czając Go ani na chwilę, wpatrzona bez ruchu wzrokiem magnetycznym, w Jego twarz, na której się odbijał na przemian to ból fizyczny, to nieopisana radość ducha... a już refleksy zbliżającej się śmierci poczęły grać coraz wyraźniej.

Matka... i tę odda im, ludziom. — Synu... oto Matka twoja bądź dla niej synem i opiekunem.. To już było wszystko. Na chwilę przemógł jeszcze ból fizyczny i wywołał falę cierpienia ducha. Wyrwał się wtedy jedyny jęk ze spieczonych warg: „Boże mój, Boże mój! czemuś mnie opuścił?!"—Ale to na chwilę tylko. Przyszła natychmiast świadomość spełnienia ofiary zupełnej, a że już była skończoną, że już nie miał nic, absolutnie nic i ostatnia kropla krwi ściekła powoli, jakby z namaszczeniem, z majestatem boskim, po Jego ciele.. zawołał z tryumfem na cały świat, na wszystkie wieki poprzednie i następne, wobec rzeszy świadków, którzy przekazali to na zawsze, z radością, która Go zabiła ostatecznie, bo była stwierdzeniem wszystkiego co pragnął: — „Wykonało się!..." Ojcze mój!... oto idę... com miał wypełnić, wypełniłem... w ręce twoje oddaję ducha mojego!...

A skłoniwszy głowę — wyzionął ducha... Boski Bohater: Błogosławiony, kto to rozumie i może czynić, jak On!

T. P.

Wstęp do Mszy Świętej.

Modlitwy u stóp ołtarza.

III.

1. Judica me. Po przyklęknięciu, lub pochyleniu się, o ile niema Przenajśw. Sakramentu na ołtarzu, kapłan czyni znak krzyża św., mówiąc: In nomine Patris etc. odmawia psalm: Judica me, Confiteor i kilka krótkich wezwań, a nakoniec dwie modlitwy: „Anfer a nobis" i „Oremus te", wstępując na stopnie ołtarza.

Aż do w. IX. Kościół nie określał wcale wstępnych modlitw do Mszy św. Pozostawione one były pobożności osobistej.

Często odmawiał je kapłan przywdziewając ubiory liturgiczne t. j. w zakrystji, lub też idąc do ołtarza. W innych kościołach odmawiane były w kaplicy na to wyznaczonej, lub na chórze.

Modlitwy te są więc względnie nie tak dawno w użyciu. Jednak w istocie swej były zawsze te same. Uczucie skruchy łączyło się z uczuciem ufności do Boga. Modlitwy te skupiają się około „Confiteor".

„In Nomine"…. Znak Krzyża św. musi mieć miejsce, samo przez się wyznaczone, na początku ofiary, która jest odnowieniem ofiary krzyżowej. Od najdawniejszych czasów robiono znak krzyża św. na początku ważniejszych czynności. Znak ten będzie powtarzany wiele razy podczas ofiary mszy św. ze słowami, lub bez słów, nad kapłanem, nad ministrantem, nad wiernymi, nad darami ofiarnemi przed i po konsekracji.

Modlitwy następujące po znaku krzyża św. mają jako cel przeproszenie Pana Boga za grzechy—to też kapłan staje u stóp ołtarza a wierni klęczą.

Wyznają się wszyscy grzesznikami, wszyscy niegodnymi, aby wykonać czynność tak świętą, lub nawet być jej obecnymi.

Introibo... Za czasów św. Ambrożego, antyfona ta wraz z psalmem, który po niej następuje, odmawiana była przez neofitów.

Kapłan przybliża się do ołtarza Boga, gdzie odprawiać będzie ofiarę, która go przemieni. Podobne uczucie powinien mieć każdy z obecnych.

Introibo ad altare Dei. Ad Deum qui laetificat iuventutem meam.]	Przystąpię do ołtarza Bożego, Do Boga, który uwesela młodość [moją.]

Ale kapłan jest tylko człowiekiem, grzesznikiem. Czuje swą niegodność i upakarza się, odmawiając psalm „Judica me" naprzemian z ministrantem, który zastępuje wszystkich obecnych.

Judica me, Deus, et discerne causam meam, de gente non sancta, ab homine iniquo et doloso erue me.	Bądź mi Sędzią, o Boże i rozpoznaj sprawę moją przeciw narodowi nieświętemu—od człowieka złego i chytrego wybaw mię.
Quia tu es, Deus, fortitudo mea: quare me repulisti? et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus?	Bo Ty jesteś, o Boże moc moja, czemużeś mię odrzucił? Czemu chodzę smutny, nękany od nieprzyjaciela?
Emitte lucem tuam, et veritatem tuam: ipsa me deduxerunt et adduxerunt in montem sanctum tuum et in tabernacula tua.	Wyślij światłość Twoją i prawdę Twoją: one mię powiodą i zawiodą na świętą górę Twoją i do przybytków Twoich.
Et introibo ad altare Dei: ad Deum qui laetificat juventutem meam.	I przystąpię do ołtarza Bożego: do Boga, Który uwesela mlodość moją.
Confitebor tibi in cithara, Deus,	Będę Cię wychwalał na cytrze, Bo-

Deus meus: quare tristis es, anima mea et quare conturbas me?

Spera in Deo, quoniam adhuc Confitebor illi: salutare vultus mei et Deus meus.

Gloria Patri...

że, Boże mój: czemużeś smutna, duszo moja, i czemu mnie trapisz?

Miej nadzieję w Bogu, bo Go jeszcze wysławiać będę: On zbawienie moje i Bóg mój.

Chwała Ojcu...

Potem kapłan powtarza antyfonę.

Od XI w. począwszy, psalm ten (42) odmawiany jest w tem miejscu mszy św. w Kościele łacińskim.

Paweł III (1550) nakazuje kapłanom, aby odmawiali psalm ten głośno, albo pocichu zanim przystąpią do ołtarza. Trzeba zauważyć, że teraz jeszcze nie mówisię tego psalmu w wigilję Zesłania Ducha św. podczas mszy uroczystej, gdyż kapłan nie przychodzi wtedy z zakrystji.

Od czasu Piusa V-go jest on obowiązującym dla całego Kościoła łacińskiego.

Nie odmawia się go jednak we mszy żałobnej ani we mszach o Męce Pańskiej. Z pomiędzy wszystkich przyczyn podawanych na wytłomaczenie tego faktu, przyczyna historyczna wydaje się najpoważniejszą:

Msza żałobna i msza o Męce pańskiej są temi, które zachowały więcej niż inne pierwotną prostotę obrządku. „Judica me" powstałe w czasach późniejszych, nie zostało dołączone do tych nabożeństw tak pełnych jeszcze surowego uroku pierwotnej liturgji.

Co do dodatku dokologji „Gloria Patri etc", która towarzyszy psalmowi, pochodzi on z w. V-go.

Adjutorium nostrum:

Kapłan żegna się i mówi:

Adjutorium nostrum in nomine Domini. Qui fecit coelum et terram.

Wspomożenie wasze w Imieniu Pańskim Który stworzył niebo i ziemię.

„Adjutorium" powtarza się bardzo często w liturgji. Kościół rozpoczyna tą formułą większość swoich błogosławieństw. Chce przez to wyrazić i potwierdzić, jak bardzo potrzebujemy pomocy Bożej, aby wykonać to co ma nastąpić. Ponieważ błagamy o łaskę, a każda łaska dana nam jest przez krzyż Jezusa Chrystusa, kapłan czyni znak krzyża św.

Confiteor:

„Confiteor", czyli spowiedź powszechna odnajduje się we wszystkich starożytnych liturgjach. Formuła jednak bardzo się zmieniła. Dawniej pozostawiona była natchnieniu celebrującego.

W niektórych dawnych mszałach znajdujemy jako formułę werset „Confitemini Domino quoniam bonus, quoniam in saeculum misericordia ejus" z psalmu 117. Formuła ta pozostaje jeszcze w użyciu u Dominikanów, którzy tak jak Kartuzi i Karmelici, odmawiają Confiteor bardzo krótki, zbliżający się do formuły, używanej niegdyś w dawnem opactwie Cluny: „Confiteor Deo et omnibus sanctis ejus et vobis Pater quia pecavi in cogitatione, locutione et operatione, mea culpa: precor vos, orate pro me".

Stopniowo, powoli wprowadzać zaczęto imiona świętych do Confiteor. Formuły były tak różne, że w starym pontyfikale paryskim powiedziano jest, że Biskup odmawiać ma Confiteor wedle swego zwyczaju „secundum consuetudinem suam".

Formuła będąca dziś w użyciu pochodzi z w. XII-go nakazana zaś została w w. XVI-tym przez Piusa V-go.

Zrozumieć można łatwo postawę pokorną w czasie tej modlitwy.

Pierwsza część zawiera wyznanie win—druga błaganie.

Confiteor Deo omnipotenti, beatae Mariae semper Virgini, beato Michaeli Archangelo, beato Joanni Baptistae, sanctis Apostolis Petro et Paulo, omnibus Sanctis et vobis, fratres: quia pecavi nimis cogitatione, verbo et opere: mea culpa, me culpa, mea maxima culpa. Ideo precor beatam Mariam, semper Virginem, beatum Michaelem Archangelum, beatum Joannem Baptistam, sanctos Apostolos Petrum et Paulum, omnes Sanctos et Vos fratres, orare pro me ad Dominum Deum nostrum.

Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu, błogosławionej Marji, zawsze Dziewicy, błogosławionemu Michałowi Archaniołowi, błogosławionemu Janowi Chrzcicielowi, św. Apostołom Piotrowi i Pawłowi, wszystkim Św. i wam bracia, żem zgrzeszył bardzo myślą, mową i uczynkiem: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Błagam przeto błogosławioną Marję, zawsze Dziewicę, błogosławionego Michała Archanioła, błogosławionego Jana Chrzciciela, św. Apostołów Piotra i Pawła, wszystkich Świętych i was, bracia, abyście się modlili za mną do Pana Boga naszego.

Wierni po zaniesieniu do Boga prośby o przebaczenie, o które błagał kapłan temi słowami:

Misereatur tui omnipotens Deus et dimissis peccatis tuis perducat te ad vitam aeternam.

Niech się zmiłuje nad tobą Bóg wszechmogący, a odpuściwszy grzechy twoje, niechaj cię doprowadzi do żywota wiecznego.

z kolei odmawiają „Confiteor", zastępując wyrazy odnoszące się do braci słowami: „tibi, Pater" i „te Pater".

Kapłan powtórzy tę samą prośbę o przebaczenie dla braci potem doda:

Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum nostrorum, tribuat nobis omnipotens et misericors Dominus. Amen.

Przebaczenia, rozgrzeszenia i odpuszczenia grzechów naszych niech nam udzieli Pan wszechmocny i miłościwy. Amen.

Jastto jakby rozgrzeszenie ogólne, które daje kapłan wszystkim wiernym obecnym. Dlatego czyni przytem znak krzyża św.

Czy może być coś piękniejszego, jak ta spowiedź publiczna, ten wyścig pokory, a potem ta modlitwa za braci grzeszników!

Deus tu conversus...

Naprzemian kapłan i ministrant modlą się dalej:

Deus tu conversus vivificabis nos. Et plebs tua laetabitur in te. Ostende nobis, Domine, misericordiam tuam.

Et salutare tuum da nobis. Domine exaudi orationem meam Et clamor meus ad te veniat

Boże, zwróciwszy się ku nam, ożywisz nas. A lud Twój rozraduje się w Tobie Okaż nam, Panie, miłosierdzie Twoje.

A daj nam zbawienie Twoje. Panie, wysłuchaj modlitwę moją. A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie.

Celem tych słów z ps. X-go jest wzbudzenie w nas skruchy. Nie jest że pierwszą rzeczą, którą serce nasze powinno ofiarować Bogu, ten żal, żeśmy Go obrazili? Na znak żalu Kapłan i ministrant stoją pochyleni — wespół zamieniają wyrazy skruchy.

Po „Indulgentiam" zachowywano dawniej przepis, który się spotyka obecnie tylko we mszy biskupiej. W chwili tej podaje subdjakon Biskupowi manipularz. Aż do XIII-go w. i kapłani dopiero w tej chwili go nakładali.

Oto przyczyna: Ornaty znowu były (jak zaznaczyliśmy) znacznie obszerniejsze, niż dzisiaj. Okrywały całego kapłana. Kapłan wstępował do ołtarza bez podnoszenia rąk (w obrządku greckim zwyczaj ten jest dotąd zachowany). Po odmówieniu spowiedzi powszechnej kapłan podnosił trochę ornat i nakładał manipularz.

„Dominus vobiscum" mówi Kapłan, a wierni odpowiadają „et cum spiritu tuo". To pozdrowienie, które spotykamy w piśmie św. (Ruth II 4), ma miejsce tu wyznaczone. Dzieło najwznioślejsze ma się rozpocząć. Tak, Bóg niech będzie z wami— niech będzie z duchem twoim.

Powiedziawszy „oremus" jakby zapraszając do modlitwy natężonej kapłan, z rękoma złożonemi, wstępuje do ołtarza.

(d. c. n.) *D. Karol van Oost O. S. B.*

MATCE.

W duszy Twojej oparcie moja zawsze miewa,
serce bije goręcej, gdy się Twego dotknie.
Miłość Twoja umacnia i czarem owiewa
a w każdej chwili życia darzy mię stokrotnie...

Od jak dawna żyjemy w tak bliskim zespole?
Ileż uczuć wstrząsnęło razem nasze serca?
...Przed nocą dziecku krzyżyk znaczyłaś na czole
i krzyżyk do ślubnego zawiódł mię kobierca.

Potem drobiazg dziecięcy wspólnej prosił pracy
Każde dziecko witałaś radośnie gotowa
do największych utrudzeń, jedno mając w płacy;
do siebie szczebiotane pierwsze dzieci słowa...

Wspólne wojny przeżycia, w końcu rok ofiarny:
Żegnanie najstarszego synka do odlotu.
Ojciec w wojsku, a syn nasz, jak rycerzyk karny,
W szeregi inne wezwan, do niebios namiotu...

Równie ciężki dla Ciebie był moment i drugi,
gdy zasłabł młodszy synek.. Słyszałaś przez ściany,
a nie mogłaś dziecinie dać swojej usługi..
I wiedziałuś, że odszedł wnuk niepożegnany...

O Matko, moja Matko! W każdziutkiej godzinie
mego życia jest kropla Twojej krwi serdecznej.
Prośmy Boga, gdy życie to ziemskie przeminie,
by zezwolił osiągnąc wspólny żywot wieczny!

Z. Cz.

BOHATEROWIE WIARY.

Święty Hieronim.

Euzebjusz Hieronim urodził się w Stridonjum, obecnem Sdrigna w Styrji, na pograniczu Dalmacji i Panonji około r. 331. Zamożni i bogobojni rodzice wysłali go wczas na naukę do

najlepiej prowadzonych szkół Rzymu. Słuchał wykładów Donata, sławnego znawcy Wirgila i Terencjusza, uczniem też był Wiktoryna, którego głośne nawrócenie Augustyn opisuje ze zwykłem sobie wniknięciem w duszę i którego wiersze mierzyć się mogą z klasykami pogańskimi.

Jak Augustyn tak i Hieronim nie potrafił ominąc kilka głodnych chwil występnej rozkoszy, ale duszy przytem nie naraził na utratę wiary. Przyjąwszy chrzest koło trzydziestego roku życia (360 po Chrz.), wiarę swoją utwierdzał, na huragany pokus już nie wystawiał.

Dwa są środki, wiodące do wykształcenia: nauka pod kierownictwem światłych mężów i rozważanie jej w zaciszu czterech ścian skrytej pracowni, a dalej zwiedzanie i obracanie się wśród ludzi. Korzystawszy w wieku młodzieńczym z pierwszej drogi, wiodącej do wykształcenia, mężem będąc, Hieronim korzysta jeszcze z majątku rodziców, żeby podróżować, oglądać, porównywać i nagromadzone wiadomości stosować w życiu. Z gorączkowością sobie wrodzoną puszcza się poprzez prowincje półwyspu apenińskiego do Galji, czyli obecnej Francji, wraca na południe i zaledwie wypoczął, by na nowo wyruszyć lądem ku Bałkanom, zmierzyć je wzdłuż i wszerz, zatrzymać się w uczelni Apolinarego z Laodicei, wybitnego znawcy Pisma ś. na krótki czas i by wreszcie dać nura w głuchą pustynię Syryjską na północo-zachód od miasta Alepu.

Choć młody, zamożny i zdolny, Hieronim w tych kilku latach przypatrywania się światu uważnemu, potrafił zbrzydzić sobie świat i znaleźć w bezludziu straszliwem równowagę i spokój.

Pustynie i cały wschód powtarzały sobie z ust do ust szczegóły żywota niezwykłego, przejmującego pustelników. Wnet legenda pragnęła skupić te wieści na pewnych postaciach, które dla wygody orzeczono nazwami. I tak powstała klechda o ś. Pawle pustelniku. Hieronim na wstępie swego pobytu pustelniczego chwycił za pióro, by wysławiać cnoty, zdobiące pustelników, bo sam do nich już się zaliczał.

Nie dlatego jednak Hieronim wzbudził podziw współczesnych i potomnych. Głównem bowiem dziełem Hieronimowewego pióra to tłumaczenie Pisma św. Przybywszy do Palesty-

ny zabrał się do nauki języków, w których było spisane Pismo ś.—do hebrajskiego i greckiego. Nic może nie przedstawia takich trudności, jak poznanie gruntowne obcych języków. Zwykle tylko zmuszeni obowiązkiem stanu, lub zawodu poddajemy się tej znojnej pracy. Hieronim podjął ją z wyższych pobudek, szukał w niej umartwienia i broni przeciwko bujnej wyobraźni, co przypominała mu wystawne bankiety i pyszne stroje rzymskiego świata. Niedługo trwało, a narzędzie męki stało się przedmiotem upodobania i przerodziło się w nową, szlachetną namiętność, studjum Pisma św.

Wschodnia umysłowość Hieronima zapaliła się do bujnych opisów proroków. Jego skłonność do wymowy płomiennej znalazła w pismach natchnionych najstosowniejszy grunt. Od roku 392 rzucił się z zapałem do poprawiania tłumaczeń łacińskich Pisma św. według Heksapli Origenesa. Kościół ówczesny staral się czekać na takiego męża, ze wszech stron nastawano na Hieronima, aby dokonał dzieła nad wyraz pożądanego. Stary Testament został przetłómaczony według oryginału hebrajskiego, Nowy Testament zaś według greckiego. Dodajmy do tego olbrzymiego i żmudnego przedsięwzięcia niezliczone objaśnienia poszczególnych ksiąg Pisma ś., traktaty etymologiczne, czyli podające rodowód słów, użytych tamże, rozprawy o geografji i archeologji biblijnej, a przyznamy, że Hieronima imię na równi można wymieniać z imionami Ewangelistów i Apostołów, którzy właśnie razem z Opatrznością Bożą tworzyli całość natchnionych ksiąg. Jest to jakby drugi Erdresz, co ludzkości odkrył piękno, zawartość i nieskalaną formę świętych ksiąg.

Co dla innegoby wystarczyło, żeby zapełnić życie i rozgłosić imię, to dla Hieronima było tylko połową zajęcia. Studja biblijne przeplatane były korespondencją rozległą. Ze wszech stron świata do niego zwracają się biskupi, uczeni, mężowie świętobliwi, by usłyszeć rady w rządach, w sporach dogmatycznych, w wątpliwościach życia wewnętrznego. I dziś widzimy, że wierni mają większe zaufanie i skuteczniejszej spodziewają się rady w zacisznych murach klasztorów, aniżeli w kancelarjach parafjalnych i kurjalnych. W stopniu wybitnym odnosi się to do Hieronima, męża uczonego, wyrywanego sobie w towarzystwie, co jeden z pierwszych dumną i złotem

oblaną porzucił Romę, by na piaskach pustynnych w cieniu palm czytać w Bożych księgach martwych i żywych. Arystokrata Marcelinus i orzeł z Hippony, Augustyn, Hieronimowej domagają się rady. Zamożny Hiszpan Lucjusz z głębi hiszpańskich dzierżaw prosi o jeden egzemplarz Hieronimowych ksiąg i śle sześciu pisarzy, biegłych piórem, by je pośpiesznie przepisali i jak klejnotu strzegąc przywieźli; słowem wszystkie stany: dziewice czyste, matrony dostojne, wierni chrześcijanie, biskupi zasłużeni, sam papież Damazy, uprzejmie domagają się światłego zdania i pobożnych modłów pustelnika świętego. Jak wielkość duszy nie zależy od miejsca zamieszkania, jak na wsi znajdziesz proboszcza wybitniejszego nad kardynałów, lekarza światlejszego nad wielkomiejskich chirurgów, myśliciela głębszego nad profesorów uniwersytetu, tak w pewnej chwili moralnym ośrodkiem Kościoła stała się chatą pustelna Hieronima. Bo prawdziwa wielkość nie potrzebuje purpury, ni togi, czy berła, świeci ona nawet w wytartej sukmanie, a przeciwnie niejedna miernota, co dorwała się wysokiego stolca, potrzebuje blichtru zewnętrznego, by zakryć próżnię i brzydotę.

Umysł, uwięziony w ludzkim mózgu, tak mało w nim znajduje miejsca, że tylko w jednym kierunku może dokonać czynów zadziwiających. Jak Ambroży szczególnie przysłużył się cezarom, tak Heronim zwłaszcza dziewicom i kobietom był pochodnią przyświecającą ich rozumowi i ich sercu: młodziutkie dziewice, mężatki w kwiecie wieku i sędziwe staruszki znalazły w nim zrozumienie i oparcie moralne. Wrażliwe ich dusze i delikatne cnoty, ich zapał do natchnionych ksiąg Pisma, ich upodobanie w cnocie czystości, którą sam tak krwawym zdobył znojem, potrzeba podniesienia rodzaju żeńskiego z upodlenia rzymskich czasów, to wszystko zdobyło przychylność męża o sercu napozór srogiem. Dziwnem zrządzeniem Opatrzności w zakresie wpływów mnicha uczonego znalazły się córki rodzin ubogich i dziedziczki magnackich fortun rzymskich patrycjuszy.

Hieronim był im ojcem za życia, a po śmierci poświęcał im wzruszające mowy pogrzebowe. Stał nad grobem tych pięknych postaci Marceli, Blesili, córki Pauli, potem Pauli Samej, Fabioli, dziewczynki rodu Fabjuszowego, Pauliny, żony

Pamniacha, tych wszystkich, co ubogie wśród bogactw, radosne wśród pustyni poznały wszystko, by zdobywać warowne stopnie doskonałości chrześcijańskiej.

Ile im oddał serca za życia, poznać można z tych mów pogrzebowych. Ujęte w kształty listów pocieszających, wysłanych do pozostałej rodziny, sławią różne ich rysy szlachetne. Czasem atoli płomień kaznodziei bierze górę nad smutnym, a ciasnym przedmiotem i wpadając w modłę oratorów rzymskich, niosą go czasem zdala hen ku wielkim zagadnieniom całego społeczeństwa chrześcijańskiego.

Kierownictwo dusz pobożnych niewiast było tylko rozrywką dla naszego świętego. Niewszędzie znajdował taki posłuch, podobne przywiązanie. Grasujące wówczas herezje Luoifera, Montana i Pelagjusza, Helwidjusza, Jowinjana, Wigilanciusza wyzywały Hieronima do walki. Wojna na słowa była stosownem polem popisu dla gwałtownego Dalmaty. Zatargi z uczniami Origenesa, waśń z Rufinem, ongiś przyjacielem, potem przeciwnikiem—to dalsze kłopoty Hieronima.

Mimo rozdrażnienia kłótni potrafił umysł Hieronima nagiąć się także do spokojnych sądów historyka. Euzebjusz znajduje w nim godnego spadkobiercę pióra kronikarskiego, dziwy pustyni doczekały się po nim świetnego opisu, a wreszcie, aby poganom wykazać, ile dzielnych ludzi zrodził Kościół wymienia wybitniejszych pisarzy kościelnych, biskupów i myślicieli. Sąd jego potomność przyjęła bez sprostowania.

Strzeżmy się jednak przed przypuszczeniem, że Hieronim przesiedział całe życie w swej Betlejemskiej chatce. Przeciwnie, ruchliwy jego temperament i żywy udział w publicznych sprawach Kościoła wywabiał go często na szeroki świat. Było to w roku 374, gdy zatrzymał się w Syrji. Dwa lata później przyjął święcenia kapłańskie, z których zresztą nigdy nie korzystał. Później zamieszkał w Jerozolimie w domu Rufina na górze oliwnej, dalej w Konstantynopolu, gdzie słuchał wykładów Grzegorza z Nasjauzu, w Rzymie, gdzie towarzyszył w roku 382 Paulinowi z Antiochji, a współpracował z papieżem Damazym aż do chwili jego pobożnego zgonu. Zniewagi ludzi zadraśniętych w miłości własnej zbrzydziły Hieronimowi pobyt w Rzymie w roku 387.

Dwieście lat przedtem doznał tego samego rodzaju przykrości w stolicy Tertuljan, mąż o podobnej duszy i prawie równych zasługach. Zgorszony brakiem miłości wśród wyznawców Chrystusa, Tertuljan wstąpił w szeregi heretyków Montanistów, Hieronim zaś u grobu Zbawiciela w Palestynie szukał ukojenia i zwyciężył burzę. Jeden umarł heretykiem, drugi świętym i doktorem Kościoła.

Wróciwszy więc na słońcem spaloną ziemię Małej Azji, wielki nasz kapłan odwiedził sławne klasztory Egiptu, słuchał w Aleksandrji wykładów o Piśmie św. uczonego Didyma, wrócił do Betlejem, gdzie uczył małe dzieci gramatyki łacińskiej. Tam spotyka go w r. 410 nominacja na hrabiego rzymskiego. Wobec naporu barbarzyńców z północy cofa się do swego schroniska, gdzie, uszedłszy miecza pogan, byłby o mało co zginął od sztyleta heretyckich pelegjan. Wreszcie w r. 420 oddaje Bogu ducha, po wielu mitręgach i znojach, wyprawach i przygodach, ten zdumiewający Hieronim, burzliwy, namiętny, osamotniony, szukający ludzi w pustelni, uciekający od nich w miastach, nigdzie nie mający rodziny ni majątku, obarczony pracą, podejmujący się jej, by zgnieść w sobie żądzę nieczystą, podobny do marynarza po zatopieniu okrętu, do pielgrzyma nagiego i pędzonego wiecznie, płaczący nad grobem swego ukochanego Zbawiciela w Jerozolimie, tulący do Jego Krzyża ciało wycieńczone postami, dusza tak gorąca i wielka, że trzeba jej było albo Rzymu, miasta tętniącego życiem nieopisanem, albo bezbrzeżnej pustyni.

Celem życia Hieronimowego była walka z ignorancją religijną, i dlatego tłumaczył Pismo św., jako źródło światła Bożego, i walka ze złem, dlatego kierował duszami, by je podnieść, uwolnić od wpływów szatana, a wprowadzić na podobne szczyty miłości Bożej i poświęcenia. Oto szczytne zamierzenia, dla których poświęcił dni twórczej pracy naukowej, podróże znojne i żywe słowo swych płomiennych piersi.

X. dr. St. Abt.

Myśli i wyznania Kontarda Ferrini'ego.

Uwagi wstępne.

Kontard Ferrini urodził się dnia 4 kwietnia 1859 r. w Medjolanie, gdzie ojciec jego był profesorem politechniki. Po ukończeniu nauk średnich i wyższych we Włoszech otrzymał stypendjum państwowe na wyjazd na dalsze studja do Berlina, dokąd udał się z końcem 1880 r. W dwa lata potem powrócił do ojczyzny i mając lat dwadzieścia cztery został mianowany profesorem prawa rzymskiego na uniwersytecie w Pawji. W okresie panoszenia się we Włoszech masonerji Ferrini nie uległ wpływowom otoczenia, lecz świecił wzorem cnót, będąc wiernym synem Kościoła katolickiego. Dzięki usilnej pracy osiągnął wysoki stopień doskonałości duchowej. Przepiękny żywot jego jest zaprzeczeniem twierdzenia, jakoby człowiek uczony nie mógł być dobrym katolikiem, jakoby nauka kłóciła się z wiarą. Pracując, jako profesor w Messynie i Modenie, Ferrini wydawał jednocześnie fundamentalne prace w swoim zakresie. W wolnych chwilach oddawał się alpinistyce. Śmierć jego nastąpiła dnia 17 października 1902 r. Obecny papież, Pius XI, na wieść o niej rzekł: „Dziś umarł święty". Od szeregu lat czynione są w Stolicy Apostolskiej starania, by świętobliwy ten mąż został wyniesiony na ołtarze.

* * *

Sztuka, nauka, natura wiodą do Boga.

W zetknięciu się z przyrodą czujemy bliskość Boga i podziwiamy Jego cuda; umysł nasz staje się zdolniejszym do pojęcia piękna i dobra, zyskuje siłę i godność, przewiduje swoje wzniosłe przeznaczenie.

Jak to miło odczuwać z samotnego górskiego szczytu podniosłe zbliżenie się do Boga i rozpatrywać w dzikiej przyrodzie wieczyście młody uśmiech jego!

Dla mnie wycieczki robią dużo dobrego nietylko dla ciała, ale i dla duszy, albowiem wzmacniają charakter, oraz podnoszą mię do innych, niż codzienne, myśli.

Te krajobrazy, te jodły, te śnieżnobiałe szczyty, zaczerwienione przy wschodzie słońca, ten łagodny blask księżyca, który igrał wśród cichej nocy i odbijał się w spokojnych wo-

dach jeziora, rozbudzały we mnie silne uczucie religijne uczucie, podniosłe oraz wstręt i obrzydzenie do tego, co grzeszne.

Kiedy rozmyślałem o... piękności oraz wielkości [Boga], serce moje tonie w zachwycie, podnoszą się moje uczucia i wydaje mi się czemś naturalnem oddanie się Jemu całkowicie.

Jakże piękne jest życie, kiedy dusza nasza jest w ręku Boga, kiedy spoczywamy w porządku, kiedy się rozpływamy w zachwycie dla tej idealnej piękności, która porwała serca nasze!

Nie mógłbym zrozumieć życia bez modlitwy, przebudzenia się rannego bez spotkania tego uśmiechu Boskiego, złożenia wieczorem głowy nie na piersi Chrystusowej.

Jak można żyć... [bez modlitwy], jest dla mnie tajemnicą, lecz tajemnicą jest samo serce ludzkie.

Życie [bez modlitwy] byłoby podobne do nocy ciemnej, pełne poniżenia i trudów, niepłodne pod straszliwem przekleństwem Boskiem, nie mogące przenieść prób, pozostawione na pastwę zmysłów, nie mające świętych radości ducha.

W dniu..., w którym zamilkłby pacierz na ustach moich, skończyłoby się dla mnie wszelkie życie moralne, skończyło by się pragnienie dobra, skończyłyby się wszelkie pociechy duszy mojej.

Błagam Pana, by modlitwa nie zamarła nigdy na ustach moich; niechaj pierwej wyjdzie dusza moja, niźli się tak upośledzi.

Zanik modlitwy znaczyłby, że mnie Pan Bóg opuścił.

Trzeba, żebyśmy przed Ukrzyżowanym błagali ze łzami o... wonność czystości, o popęd wewnętrzny do tej przepięknej cnoty.

[Dusza] wzmacnia się częstem przystępowaniem do Uczty Anielskiej.

Czemże są radości tego świata, zadowolenia zmysłowe w porównaniu z temi chwilami, [chwilami zjednoczenia z Bogiem przez Komunję św.].

Miłość dla widzialnego człowieka będzie miarą, którą mierzyć będziemy naszą miłość dla niewidzialnego Boga.

[Przez umiłowanie braci naszych] będziemy mogli Panu Jezusowi pokazać, że Go miłujemy, będziemy mogli rozlać bo-

gactwo Jego darów, będziemy mogli wypełniać wielkie apostolstwo.

[Miłując współbraci], udoskonalimy... życie nasze, albowiem doskonałość jest w miłości.

Więcej jest wart akt miłości, aniżeli skarb Krezusa.

Pierwszem mojem pragnieniem będzie żądza dobra moralnego drugich i dlatego muszę być pokornym oraz miłym.

[Pokora] — to jedna jedyna droga, która człowieka doprowadzić może do nieskończoności, do Boga.

Pokora jest uznaniem własnej nędzy, jednak nie jest nią poddanie się rozpaczy, gdyż pozostajemy w dobrych rękach [Boga].

Pokora jest prawdą, więc jest też najwyższą godnością w życiu.

Będę miłował święte ubóstwo i starać się będę praktykować je w szacunku do ubogich, znosząc wesoło straty oraz inne niepowodzenia.

Wystrzegajmy się nadawania miana próżności dążeniu do rzeczy wyższych, bo to byłoby tchórzostwem.

Pogarda dla świata naturalną jest w duszy chrześcijanina, który widzi rzeczy w prawdzie, lecz byłoby błędem rozciągać tę pogardę i na światowców, są oni bowiem naszymi braćmi, są spadkobiercami tych samych nadziei oraz tych samych obietnic, wielkie zbawienie oczekuje ich także i mogą, o ile zechcą, być naczyniami wybranemi.

Biada nam, gdybyśmy nie mieli na uwadze, iż do tego doszła złość ludzka, że w nas, chrześcijanach, wyszukuje się najmniejszej plamy, powiększa się ją i przypisuje się nie nam nędznikom, ale temu prawu niepokalanemu, które wyznajemy, temu przeczystemu Kościołowi, do którego należymy.

Wesołość naszego serca jest prawem Bożem, wiarą w... obietnice [Boga], radością Jego przyjaźni, rozkoszą Jego dobroci i chwały.

Cierpienia są warunkiem wieczności.

* * *

Notatki bibljograficzne.

Zyciorys Kontarda Ferrini'ego w książce ukazał się w języku polskim lat temu dwadzieścia. Autorką jego jest Marja Broel-Platerowa, nosi on zaś tytuł: „Contardo Ferrini, profesor prawa rzymskiego w uniwersytetach w Padwie, Pawji, Messynie, Medjolanie i in., członek wielu instytucyj naukowych i t. d., mąż głębokiej wiedzy i wielkiej świętości" (Wilno, 1916). Resztki nakładu tej pracy, liczącej dziewięćdziesiąt stron, są do nabycia po cenie 50 gr. w księgarni „Kronika Rodzinna" (Warszawa, Podwale 4). Krótki zarys biograficzny pióra ks. dr. Komorowskiego CR. zamieścił niedawno temu poznański „Przewodnik Katolicki" (Nr. 31, dnia 29 lipca 1928 r.). Artykuł ten jest zatytułowany: „Święty we fraku. Contardo Ferrini, nowa gwiazda na horyzoncie Kościoła".

J. M. Chudek.

Drobiazgi hagjologiczne.

Nowi błogosławieni.

Dekretem św. Kongregacji Obrzędów z dnia 16 maja 1928 r. przez zatwierdzenie czci, oddawanej od czasów niepamiętnych, błogosławionymi ogłoszonych zostało ośmiu opatów z zakonu o.o. Benedyktynów od Trójcy Przenajświętszej, którzy kierowali klasztorem w miejscowości Cara, we Włoszech. Imiona tych nowobeatyfikowanych są następujące: Symeon, Falkon, Maryn, Beninkasa, Piotr II, Balsam, Leonard i Leon II. Poprzednicy wymienionych opatów, mianowicie Alfernis, założyciel opactwa, Leon I, Piotr I, oraz Konstabl, beatyfikowani zostali w tenże sam sposób jeszcze w 1893 r.

Relikwje św. Ludwika.

W kościele parafjalnym w miejscowości Ecuelles, dekanatu Verdun-sur-le-Doubs, diecezji Autun przechowywany jest relikwjarz, zawierający relikwje św. Ludwika, króla Francji, na które składają się ramię lewe i cząstka czaszki o powierzchni ośmiu centymetrów kwadratowych. Relikwje te otrzymała dziedziczka Ecuelles'u, Béatrix de Palleau, dla serdecznej przyjaciółki swojej,

siostry Izabeli de Vignolles, przełożonej klasztoru w niedaleko odległem Molaise'ie. Podczas „wielkiej” rewolucji francuskiej po rozpędzeniu zakonnic skarb ten, tak drogi dla katolików, został przekazany proboszczowi z Ecuelles'u. Ponieważ przechowywanie relikwij u niego nie było bezpieczne, gdyż lada chwila mogły je zbeszcześcić zbrodnicze elementy rewolucyjne, w okresie terroru przechowywała je Anna Cuzeau. Gdy niebezpieczeństwo minęło, doczesne szczątki świętego władcy francuskiego przeniosła ona do kościoła. W 1872 r. ks. biskup diecezji Autun dokonał urzędowego rozpoznania relikwij, a skoro okazało się, że autentyczności ich kwestjonować nie można, pozwolił je czcić publicznie oraz umieścił je na ołtarzu po uroczystej procesji. Odtąd pielgrzymki do owej miejscowości wzmogły się bardzo. Ostatnia miała miejsce w dniu 25 sierpnia 1928 r.

Uroczystość ku czci św. Wiary.

Dnia 7 października 1928 r. w miejscowości Conques, diecezji Rodez, obchodzone były uroczystości z okazji pięćdziesięciolecia odkrycia relikwij św. Wiary, której cześć sięga aż pierwszych wieków chrześcijaństwa. Szczątki doczesne owej świętej odnalezione zostały w 1878 r. w grubym murze absydy bazyliki romańskiej w tem mieście. Zamurowania ich dokonali stróże świątyni, o.o. Cystersi, a uczynili to w stuleciu szesnastem z tego powodu, by relikwje uchronić od zniszczenia podczas wojen religijnych. Odkrycia dokonano przy restauracji bazyliki. Co się tyczy czci św. Wiary, to jest ona w tych okolicach Francji bardzo rozpowszechniona. Do Conques dążą liczni pielgrzymi, a oprócz nich turyści i archeologowie. Ci ostatni czynią to w tym celu, by obejrzeć starożytną statuę świętej, wykonaną ze złota oraz przyozdobioną emalją.

Patronka elektrotechników.

Elektrotechnicy, których liczba na całym świecie wzrasta w tempie bardzo szybkiem, nie posiadają jeszcze dotąd swojego patrona, z tego przeto względu „La Revue des Saintes” czyni im propozycję, ażeby za opiekunkę swoją obrali św. Barbarę, uznawaną za obronicielkę przed piorunami. „Przecież piorun — pisze to pismo — nie jest niczem innem, jak elektrycznością. Św. Brarbara zdaje się będzie najodpowiedniejszą na orędowniczkę oficjalną elektrotechników, wystawionych na pewne niebez-

pieczeństwo, tak, jak odpowiednią jest już na patronkę artylerzystów tudzież tych wszystkich, co są w tak niebezpiecznem położeniu".

Święci na filmie.

W Paryżu coraz częściej zaczynają ukazywać się obecnie na ekranie postacie osób, uznanych przez Kościół katolicki za święte bądź za błogosławione. Tak np. w miesiącu listopadzie 1927 r. wyświetlano „Życie św. Franciszka z Assyżu", w tym samym mniej więcej czasie urządzono pokaz „Męczeństwa św. Maksencjusza", potem znowu nastąpił „Deszcz róż" ze św. Teresą od Dzieciątka Jezus i „Quo vadis" ze św. Piotrem oraz św. Pawłem. „Objawienia Matki Boskiej w Lourdes" dały okazję do przedstawienia przeżyć bł. Marji Bernardety Soubirous. Szlachetny wysiłek, który ujawniają katolicy francuscy na polu kinematografji katolickiej, daje rękojmię, iż niezadługo zjawią się nowowyprodukowane filmy, bodajby nawet krótkie, o treści hagjologicznej. Obrazy tego rodzaju są bardzo pożądane zwłaszcza dla ekranów popularnych, które organizować trzeba koniecznie we wszystkich parafjach, by odciągnąć ludzi od kin złych.

— jmch. —

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Śluby cywilne.

Nad Polską zmartwychwstałą zawisła groza ślubów cywilnych i rozwodów. Żywioły radykalne i bezwyznaniowe zamierzają narzucić społeczeństwu polskiemu świeckie ustawodawstwo małżeńskie i rozwodowe, które pośrednio ma zadać cios śmiertelny rodzinie polskiej, tej najsilniejszej ostoi naszych tradycyj religijnych i narodowych.

Już w r. 1920 członkowie komisji kodyfikacyjnej większością głosów uchwalili następujące punkty projektu ustawy o ślubach cywilnych fakultatywnych i rozwodach: *) 1. Każde-

*) Dr. St. Gołąb, prof. Uniwers. Jagiel., członek Komisji Kodyfikac. Rz. P.: „Zasady prawa małżeńskiego". Z obrad sekcji prawa cywiln. Komisji Kodyfikacyjnej. Warszawa 1925.

mu wolno zawrzeć małżeństwo przed urzędnikiem stanu, lub przed swym duszpasterzem. 2. Do małżeństwa przed urzędnikiem stanu nie mogą być przeszkodami fakty lub stosunki natury wyznaniowej. 3. Formę zawarcia małżeństwa określi ustawa o księgach stanu cywilnego. 4. Każde małżeństwo może być wobec państwa rozwiedzionem.

Rzecz zrozumiała, że powyższy projekt Komisji Kodyfikacyjnej wywołał niezwykle energiczne protesty ze strony całego społeczeństwa polskiego. Na zjazdach katolickich oraz na zebraniach i wiecach Lig katolickich powzięto odpowiednie rezolucje w tej sprawie.

Episkopat polski w dniu 5 marca 1926 r. wystosował specjalną odezwę do rządu i narodu polskiego w obronie Sakramentu małżeństwa.

Odezwa ta głosi: „Niepokój wielki ogarnął duchowieństwo i szerokie koła naszego katolickiego społeczeństwa wskutek poważnych wieści, że przygotowywana kodyfikacja prawa małżeńskiego dla katolików, opiera się na poglądach, niezgodnych z zasadą Kościoła Świętego. Wobec tego zwracają się biskupi katoliccy wszystkich trzech obrządków, zebrani z całej Polski na naradę w sprawach kościelnych w Warszawie, do przedstawicieli Rządu i stronnictw poselskich o zabezpieczenie katolickim związkom ich charakteru sakramentalnego". Dalej XX. Biskupi stwierdzają. że świętość rodzinnego życia, religijne wychowanie dzieci są podstawą nietylko rodziny chrześcijańskiej, ale także trwałości i pomyślnego rozwoju życia narodowego i państwowego. Podstawa ta jednakże jest uwarunkowana uświęceniem związków katolickich przez Kościół i przez nierozerwalność ich węzła. Od tych zasad Kościół katolicki ustąpić nie może i nie ustąpi. Wreszcie z całą stanowczością XX. Biskupi, oświadczają: „My, Biskupi, będący stróżami przekazanej nam nauki i nakazów Chrystusowych, wymagać musimy i wymagamy, aby także wszyscy katolicy w tej sprawie sumienia mocno stali w obronie zasad Kościoła katolickiego i przeciwdziałali ustawowemu sankcjonowaniu tak zwanych ślubów i rozwodów cywilnych. Związek małżeński, zawarty przed urzędnikiem stanu cywilnego jest nieważny, bo sprzeciwia się prawu Bożemu".

Oto śmiały i zdecydowany głos episkopatu polskiego w obronie Sakramentu małżeństwa na ziemiach Polski odrodzonej. Głos ten jest wyrazem i echem nieomylnej nauki Kościoła i doktrynalnych wskazań Stolicy Apostolskiej.

* * *

Instytucja ślubów cywilnych w pierwszym rzędzie zawdzięcza swoje powstanie błędnym naukom pseudo-reformatorów, którzy, jak Luter i Kalwin, odmawiali małżeństwu charakteru Sakramentu, a do jej wprowadzenia w życie w wielu krajach przyczyniły się również zasady teorji o wszechwładzy państwa oraz system zupełnego odłączenia Kościoła od państwa.

Przez ślub cywilny należy rozumieć zawarcie związku małżeńskiego wedle ustaw państwowych wobec urzędnika państwowego. O zawarciu małżeństwa stanowi objaw woli oblubieńców i częstokroć wymagane jest nadto do skuteczności prawnej aktu wyraźne oświadczenie asystującego urzędnika, że małżeństwo prawnie zawarte zostało.

Państwo nie bierze tu pod uwagę przepisów prawa kościelnego, chociaż niektóre ustawodawstwa, jak niemieckie, wyraźnie zaznaczają, że nie mają zamiaru przeszkadzać dopełnieniu ślubnych obrzędów kościelnych. Ślub cywilny przeto jest instytucją prawa państwowego, opartą na teorji małżeństwa, jako czystego kontraktu, za pomocą której państwo wykonuje ustawodawstwo i sądownictwo małżeńskie, a także określa i ustanawia formę zawierania ślubu.

W ustawodawstwach obecnie w wielu państwach obowiązujących istnieją trzy rodzaje ślubów cywilnych: 1) Śluby cywilne obowiązkowe i obowiązujące bezwarunkowo i wyłącznie w obrębie państwa tak, że tylko małżeństwo w formie cywilnej zawarte powoduje odpowiednie skutki prawne.

2) Śluby cywilne dowolne, czyli fakultatywne, zachodzą wówczas, gdy państwo pozostawia do woli oblubieńców zawierać związki małżeńskie albo przed władzą państwową, albo przed duchownym swego wyznania, który występuje wówczas w charakterze urzędnika stanu cywilnego.

3) Śluby cywilne z konieczności istnieją tam, gdzie prawo państwowe uznaje wprawdzie, jako obowiązkową formę kościelną, ale dozwala na zawarcie związku w formie cywil-

nej, jeżeli forma kościelna nie może być dopełniona, albo dlatego, że zachodzi jakaś przeszkoda kościelna przez prawo państwowe nie uznana, albo z powodu, że strony nie należą do żadnego uznanego w państwie wyznania.

Po raz pierwszy pojawiły się śluby cywilne w Holandji i Zachodniej Fryzji na podstawie ustawy z r. 1580, którą rozporządzono, że związki małżeńskie mają być zawierane albo przed duchownym reformowanym, albo przed władzą cywilną. Ustawa ta była wymierzona przeciw katolikom, aby udaremnić zawieranie małżeństw przed duchownym katolickim. Żydom... w drodze wyjątku pozwolono zachować swoje prawo małżeńskie wyznaniowe.

Obecnie istnieją śluby cywilne obowiązkowe: w Belgji, Francji, Holandji, Niemczech, Portugalji, Szwajcarji, Włoszech, na Węgrzech i w Rosji Sowieckiej; śluby fakultatywne — w Anglji, Czechosłowacji, Danji, Norwegji i Szwecji.

Śluby wyłącznie kościelne mają: Finlandja, Szkocja, Grecja, Jugosławja, Bułgarja, Litwa i na większości swoich ziem Polska. W Hiszpanji dla katolików istnieją wyłącznie śluby kościelne, w Austrji ślub kościelny istnieje jako zasadniczy, dopuszczalne są śluby cywilne z konieczności. Nadmienić należy, że we Włoszech ślub kościelny może poprzedzić cywilny, ale nie posiada znaczenia prawnego dopóty, dopóki nowożeńcy nie powtórzą go wobec urzędnika stanu cywilnego. Rumunja wprowadziła ślub kościelny, jako obowiązkowy po dokonaniu ślubu cywilnego.

* * *

Wobec dążeń zmierzających do poddania instytucji małżeństwa ustawodawstwu i orzecznictwu państwowemu, zaznaczył Kościół niejednokrotnie bardzo stanowczo i wyraźnie, że skoro małżeństwo chrześcijańskie jest Sakramentem, przeto tak wydawanie norm prawnych, dotyczących istotnych warunków i form tej instytucji, jak również orzekanie w sprawach małżeńskich należą do wyłącznej kompetencji Kościoła. Władza świecka ma jedynie głos w sprawach, dotyczących skutków cywilnych małżeństw chrześcijańskich.

Stanowisko swe wobec ślubów cywilnych Kościół określił w sposób wyraźny, oświadczając wielokrotnie, że są one ceremonją ściśle cywilną, która na polu kościelnym żadnych

skutków prawnych za sobą nie pociąga. Związki małżeńskie chrześcijan zawarte tylko wobec władzy cywilnej zasadniczo poczytuje jako kankubinaty. Papież Pius IX w alokucji Multis gravibusque z 17 grudnia 1860 r. nazywa je „legalnym konkubinatem ku ostatecznej zagładzie dusz"; w alokucji zaś z 27 września 1852 r. oświadcza: „Małżeństwo jest prawdziwe i właściwe jednym z siedmiu Sakramentów prawa ewangelicznego i dlatego pomiędzy chrześcijanami jakikolwiek inny związek między mężczyzną i niewiastą, niż sakramentalny zawarty nawet na podstawie jakiegokolwiek prawa cywilnego, nie czem innem jest, jak wstrętnym i zgubnym konkubinatem, tylekroć przez Kościół potępionym".

Podobnie brzmią i orzeczenia Leona XIII. Papież ten w swej encyklice o małżeństwie chrześcijańskiem „Arcanum divinae" z 10 lutego 1880 w mocnych słowach piętnuje i potępia te idee, które wpływają na wzmożenie się akcji wymierzonej przeciwko kompetencji Kościoła w sprawie małżeństw chrześcijan.

Nowy Kodeks prawa kanonicznego również stanowczo odrzuca instytucję ślubów cywilnych.

Gruntownie i wszechstronnie przedstawił stanowisko Kościoła w stosunku do ślubów cywilnych i rozwodów, episkopat polski we wspólnym liście pasterskim do duchowieństwa i wiernych, ogłoszonym w r. 1921. W liście tym XX. Biskupi przypominają wiernym, że małżeństwa cywilne między chrześcijanami wedle orzeczenia Kościoła nie są prawdziwemi małżeństwami, lecz są nieprawemi związkami—konkubinatami.

Wyrok ten stosuje się do wszelkiego rodzaju małżeństw cywilnych, a więc i do tak zwanych małżeństw cywilnych „z konieczności", bo małżeństwo cywilne „z konieczności" ma tyle uzasadnienia co zbrodnia „z konieczności".

Niema konieczności, w której wolnoby było popełnić zbrodnię; niema konieczności, w której wolno byłoby na pogardę prawa kościelnego zawrzeć małżeństwo czysto cywilne. Tylko w tym wypadku małżeństwo cywilne miałoby prawne uzasadnienie, gdyby między wiernymi choćby na chwilę oddzielić można było chrześcijanina od obywatela, szafarza sakramentu od twórcy kontraktu małżeńskiego, akt wiary, jakim jest zawarcie małżeństwa, od aktu obywatelskiego, kontrakt

małżeński od Sakramentu małżeństwa. Ponieważ jest to niemożliwe, ponieważ jeden i ten sam człowiek równocześnie i nierozdzielnie jest chrześcijaninem i obywatelem i, tworząc umowę małżeńską, przyjmuje i udziela temsamem Sakramentu, więc małżeństwo świeckie, choć skryte cieniem prawa, jest i zostanie między chrześcijanami bezprawiem.

Najwyżsi przedstawiciele i obrońcy Kościoła i życia religijnego w Polsce wraz z ogółem katolików nigdy nie dopuszczą, aby na ziemiach polskich dokonane i usankcjonowane zostało takie bezprawie.

* * *

Chcąc przystąpić do ustalenia podstaw, na jakich ustawodawstwo małżeńskie miałoby się opierać w Polsce, należy uwzględnić z jednej strony prawne zagadnienie, z drugiej interes Państwa i społeczeństwa. Ustawa powinna być jednolita na cały obszar Rzeczypospolitej. Nie wynika jednak z tego, ażeby ustawa taka koniecznie musiała zawierać jednolite przepisy dla wszystkich wyznań i religji, istniejących w Polsce.

Gdybyśmy podciągneli to wszystko pod jeden strychulec, należy się obawiać, żebyśmy nie stanęli w sprzeczności z wymaganiami życiowemi. Kościół katolicki tak, jak inne wyznania posiada odrębne ustawodawstwo małżeńskie.

Kościół zawarł przepisy odpowiednie w Kodeksie Prawa Kanonicznego, a wynikają one nietylko z prawa kanonicznego, lecz określone są zasadniczo przez samego Chrystusa Pana. Przepisy te co do istotnej swej treści pozostały niezmienione przez blisko 2000 lat istnienia Kościoła, niezależnie od prawodawstwa różnych państw i czasów i od nastrojów społeczeństw, narażając go nawet na odpadnięcie całego kraju (Anglja).

Przepisy prawa kanonicznego uwydatniają następujące zasady prawa małżeńskiego:

1. Małżeństwa katolickie (także mieszane, w których jedna strona jest katolicka) podlegają jurysdykcji Kościoła Katolickiego, nietylko jako sakrament, ale także, jako umowa.

2. Co do następstw czysto cywilnych, małżeństwa podlegają władzy cywilnej.

3. Małżeństwa takie są nierozerwalne, w pewnych wypadkach może nastąpić rozdział życia małżeńskiego (separacja).

Powyższe zasady powinny być obowiązującem prawem w Polsce. Wymaga tego Konstytucja i Konkordat. Konstytucja stanowi w art 114, że Kościół rz.-katolicki rzadzi się własnemi prawami. Konkordat zaś stwierdza w art. 1, że Kościół katolicki bez różnicy obrządków korzystać będzie w Rzeczpospolitej z pełnej wolności oraz, że Państwo zapewnia Kościołowi swobodne wykonywanie jego władzy duchownej i jego jurysdykcji.

Gdyby przeto Państwo w ustawodawstwie małżeńskiem chciało zaprowadzić postanowienia odrębne od postanowień Kościoła, w szczególności, gdyby przez wprowadzenie „ślubów cywilnych" usunęło je z pod jurysdykcji Kościoła, toby ograniczyło prawo Kościoła do tego, żeby się rządził własnemi prawami, ograniczyłoby swobodę wykonywania władzy duchownej i jurysdykcji i naruszyłoby wreszcie zupełną wolność Kościoła. Stanęłoby przez to w sprzeczności z własną Konstytucją i Konkordatem.

Zresztą nawet, gdyby Konstytucja ani Konkordat nie zawierały zgoła przytoczonych postanowień, jeszczeby Państwo nie mogło wprowadzać ślubów, ani tembardziej rozwodów cywilnych. Olbrzymią większość ludności naszego kraju stanowią katolicy; katolicki charakter religijny i sakramentalny małżeństwa, tudzież jego nierozerwalność, pochodzi nietylko z prawa kościelnego, ale wynika z prawa Bożego, którego nikt, ani Kościół, ani Państwo nie może i nie ma prawa zmienić.

W cytowanej we wstępie artykułu broszurze Dr. St. Gołąb, członek Komisji Kodyfikacyjnej, stwierdza: Bądź co bądź, choć plebiscytu nie było w tej sprawie (ustawodawstwa małżeńskiego), olbrzymia ilość ludzi w Polsce tkwi silnie w zasadach religji katolickiej, uznając nierozerwalność raz zawartego małżeństwa. Chcąc tedy kodyfikować, trzeba specjalnie dla prawa małżeńskiego uzbroić się w największą może dozę objektywności... aby w granicach możliwości usunąć tarcia, a nie wywoływać lub dawać, choćby najlżejszą podnietę do wywoływania zaostrzonej walki".

Nasze władze państwowe, ustawodawcze, i Komisja Kodyfikacyjna usuną bezwątpienia tarcia w tej sprawie i nie wywołają zaostrzonej walki i bezwzględnej opozycji ze strony olbrzymiej większości obywateli kraju, jeśli w dziedzinie reformy prawa małżeńskiego uwzględnią w całej rozciągłości zasady Kościoła katolickiego.

Ks. St. Mystkowski.

Na marginesie zagadnienia inkwizycji.

Kto nie słyszał o inkwizycji? Na całym świecie na łamach różnych dzienników radykalnych, liberalnych „brukowców" i t.p. raz poraz można spotkać o niej wzmianki. Niech tylko jaki gorliwszy katolik wystąpi z szerszą inicjatywą, zaraz odezwie się zgodny potępieńczy chór, zarzucający mu „czarną reakcję" i dążenie do wskrzeszenia tradycyj inkwizycyjnych. Pomimo tej popularności, czem naprawdę była Inkwizycja, co o niej, mówi historja, nic nie wie, nie tylko „szary" ogół, lecz nawet dziewięćdziesiąt procent pismaków, żerujących na niej.

Inquiro znaczy po łacinie wyszukuję. Miała Inkwizycja za zadanie wyszukiwanie i karanie występków przeciwko wierze. W pierwszych wiekach istnienia chrześcijaństwa przejawiała się pod postacią upomnień, w ostatecznym razie w usunięciu ze zgromadzenia wiernych. Za Konstantyna, gdy nastąpiła łączność Kościoła z państwem, kara kościelna zaczęła pociągać konsekwencje państwowe, jak np. wygnanie. Kodeks cesarza bizantyjskiego Justynjana głosi: „Co się czyni przeciw boskiej religji, to się obraca na szkodę wszystkich". Później gdy Kościół wśród dzikich barbarzyńców stał się ostoją porządku społecznego i kultury, wszelki zamach na niego był zbrodnią przeciw społeczeństwu. Na każde wrogie objawy reagowano ostro. Nawet król, posiadający wówczas władzę absolutną, mógł bardzo łatwo za swe wystąpienia zapłacić koroną. Przykładem tego niech będzie potężny władca cesarstwa niemieckiego Henryk IV, który był zagrożony detronizacją i musiał się ukorzyć w pokutniczym stroju przed papieżem.

W XII i XIII wieku zaczynają się szerzyć sekty Katarów („czystych") i Waldensów. Obydwie były niebezpieczne dla

ówczesnego społeczeństwa. Byli oni protoplastami komunistów. Katarzy napadali na sakrament małżeństwa, na rodzinę i zasadę własności. Waldensi rozpowszechniali błędne teorje o przysiędze i prawach władzy państwowej do wymierzania kar winnym. Skutki podobnych nauk zaczęły się objawiać w zepsuciu obyczajów i okrucieństwach względem katolików. Ówczesnej Europie zagrażał los teraźniejszej Rosji.

Władze państwowe wystąpiły bardzo energicznie przeciwko tym wywrotowcom. Król Aragonji i hr. Barcelony rozkazał w r. 1197 opuścić heretykom państwo przed dniem 23 marca 1198 roku. Po tym terminie mieli być pozbawieni majątków i karani śmiercią. Niepokoje, nieustanne mordy skrytobójcze nie ustawały. Wreszcie w roku 1207 legat papieski Piotr de Castelnau został zamordowany. Fakt ten wywołał ogromne oburzenie i powołał ówczesne rycerstwo pod broń. Na mord odpowiedziano krucjatą, w której siły zbrojne heretyków zostały złamane.

Jakkolwiek ponieśli klęskę, sprawa nie była jeszcze ostatecznie załatwioną, gdyż pokonani rozproszyli się po świecie i w ukryciu szerzyli dalej swą wywrotową religję. Ażeby skutecznie przeciwdziałać tej kreciej robocie, Kościół powołał do walki z nią Inkwizycję, uprzednio odpowiednio ją zreformowawszy. W skład jej wchodzili wybitni teolodzy, którzy mieli pouczać o błędności nowej nauki i oddzielać wiernych od „fałszywych proroków" i ich zgubnych wpływów.

Był to najosobliwszy w świecie trybunał. Przed rozpoczęciem swej działalności w jakiejś miejscowości ogłaszał „czas łaski" (miesiąc lub dwa), podczas którego odbywały się liczne przemówienia, poświęcone błędom herezji i każdy odstępca, odwoławszy swe błędy, wolny był od wszelkich represyj. Czas ten był również przeznaczony dla tych, którzy nie chcąc się wyrzec swych przekonań, regulowali swoje sprawy pieniężne i wynosili się do miejsc, w których nie działał inkwizytor. W jakimże prawodastwie znajdujemy podobną procedurę? Społeczeństwu ówczesnemu nie zależało na prześladowaniu lecz na uwolnieniu się od owych „dobroczyńców". Dopiero na zatwardziałych grzeszników, którzy gwałtem chcieli szerzyć swoje niebezpieczne zasady, spadała karząca ręka sprawiedliwości świeckiej. Podobnie, czyż można się dziwić, że obecne

rządy każą więzić latami opornych komunistów, którzy nie chcą się wynieść do swego „raju", sowieckiej Rosji i pracują potajemnie nad „uszczęśliwieniem" nas mordem i nędzą?

Inkwizytorami zostawali cystersi, franciszkanie i dominikanie. Zakonnicy ci, żyjący w zupełnem ubóstwie, dawali gwarancję, że nie dadzą się przekupić. Ich uczciwość stwierdza nawet Llorente, były ksiądz, główny oszczerca Inkwizycji, który, jako mający dostęp do wszelkich jej archiwów, napewno nie omieszkałby wytropić i ogłosić, gdyby coś podobnego się zdarzyło. Asesorami byli zazwyczaj biskupi i opaci miejscowych klasztorów. Sześciu lub dwunastu znanych miejscowych obywateli było ławnikami. Mieli oni prawo kontrolować świadków, ich zeznania i zakładać swoje veto. Oprócz tego, jako eksperci, byli powoływani prawnicy świeccy, niejednokrotnie w liczbie kilkudziesięciu. Zaiste trudnoby staranniej zagwarantować bezstronny wymiar sprawiedliwości. Już po rozpoczęciu się procesu oskarżony mógł zakwestjonować objektywność sędziów i ci natychmiast byli zastępowani przez innych. Każdy wyrok można było zaskarżyć w Rzymie i ewentualnie osiągnąć jego unieważnienie. Papieże bardzo skrupulatnie rozpatrywali wszelkie zażalenia, uwalniali często i nawet z tego powodu dochodziło do zatargów z rządami, niezadowolonemi z takiego obrotu sprawy.

Nieraz spotykamy zarzut, że nazwiska świadków były tajemnicą dla oskarżonego. Czyż możemy się dziwić owemu zarządzeniu, wszak i teraz niejeden nie ośmieliłby się oskarżyć osobę wpływową, mogącą się zemścić, a wtedy przecież były to czasy „Vendetty", mordujących się w zemście rodów. Zresztą same zarzuty były oskarżonemu wiadome i było uczynione wszystko, by uchronić go od niesprawiedliwych oskarżeń wrogów. Zeznania świadków były bardzo szczegółowo badane. Wartość moralną ich samych stwierdzali najbardziej znani obywatele pod przysięgą, a i sam oskarżony podawał listę wrogów i zeznania tych bezwzględnie nie mogły być brane pod uwagę. O sprawiedliwości Sądu można się przekonać, wertując ówczesne akta, gdzie znajdujemy protokóły sesji i zeznania świadków w całości. Takie procesy Jak Joanny d'Arc i mistrza zakonu Templarjuszów nie były obrazem normalnej, przeciętnej procedury, lecz karykaturą Inkwizycji. W pierwszym

wypadku zainscenizowane przez Anglików i w drugim przez rząd francuski.

Muszę wreszcie dotknąć najbardziej rozreklamowanego zarzutu, dotyczącego tortur. Ponieważ przeciwnicy Inkwizycji uważają go za największy atut w swem ręku, omówię go bardziej szczegółowo. Najpierw rozpatrzę sprawę tortur pod względem prawnym, następnie na tle ówczesnych obyczajów i wreszcie w stosunku do obecnych praktyk policyjnych.

W procesie karnym istnieją dwa systemy: skargowy i śledczy. Według pierwszego, skarżący musi dowieść winy podsądnego i obaj wobec sędziego są równi — zwycięża ten, kto przedstawi silniejsze argumenty. W procesie śledczym uważa się, że ponieważ interes państwa został naruszony, należy za wszelką cenę wykryć przestępcę. Interes jednostki ginie wobec państwa i oskarżony, jeżeli inne drogi nie doprowadzą do celu, może być zmuszony do zeznań zapomocą tortur. O ile je wytrzyma i nie przyzna się, jest niewinny.

Tortury zostały przejęte z prawodawstwa rzymskiego i dopiero w XVIII wieku zostały zniesione (oficjalnie!!!). We Francji zniósł je Ludwik XVI.

Kościół tolerował tortury w sądach świeckich, lecz klerowi zabronił obecności przy nich i udział w nich powodował niezdolność sprawowania obowiązków duchownych. W procesach inkwizycyjnych stosowano je jedynie jako „malum necessarium". Używać ich tylko mogła władza świecka, lecz tak, aby nie były powodem kalectwa, lub utraty zdrowia. Każde wyznanie zdobyte przy pomocy bólu, traciło swą wartość, o ile po 24 godzinach dobrowolnie nie było powtórzone przed Sądem. Inkwizytor, jako duchowny, nie mógł być obecny przy badaniu. Każdorazowe tortury wymagały pozwolenia biskupa, biskupi dosyć niechętnie wydawali Albigensów w ręce władzy świeckiej. I tak Abaillard chociaż powrotny heretyk był żywiony w opactwie w Clugny. We Francji, podczas dwóch wieków walki z Katarami, zaledwie trzy razy były stosowane tortury.

Jeśli podsądny wyrzekł się błędów, wówczas kończyło się na karze naznaczonej przez spowiednika. Oporni byli skazywani na kary pieniężne, chłostę, pręgierz, piętnowanie, więzienie państwowe lub konfiskatę dóbr na rzecz skarbu. Wyżej

wspomniany ex-ksiądz Llorente zarzuca inkwizycji hiszpańskiej, iż „straciła" 234.526 ludzi. Jednak sam przyznaje, że z tej liczby 9600 było spalonych pozornie (ich wizerunki, sami uciekli), a 206.546 było skazanych na pokuty kościelne (najmniejsza ofiarowanie świecy, największa—udział w wyprawie krzyżowej). Józef hr. Tyszkiewicz w pracy swej p. t. „Inkwizycja hiszpańska"pisze, że po porównaniu różnych ustępów czterotomowego dzieła, okazuje się iż Llorente może naprawdę zarzucić stracenie 216 ludzi, w ciągu trzech wieków, czyli mniej niż jednego przez rok.

Należy jeszcze pamiętać, że każdy skazany był powtórnie sądzony przez świeckie sądy. Oprócz tego wielką rolę odgrywały sprawy polityczne. Żydzi na rzecz Maurów spiskowali przeciw Hiszpanom. Na skutek kilkakrotnych zamachów stanu został wydany edykt królewski, na mocy którego nakazano opuścić kraj żydom w ciągu dwuch lat. Żydzi odpowiedzieli rozruchami i zamordowali legata papieskiego. To też edykt został wykonany. Jedni zostali zmuszeni do wyjazdu, drudzy przyjęli chrześcijaństwo. Ci ostatni jednak uczynili to pozornie i otóż przeciw tym ukrytym żydom użyto Inkwizycji, która popadła pod silne wpływy świeckie i stała się ich narzędziem. Papieże nieustannie interwenjowali przy wydawaniu wyroków. Leon X rzucił klątwę na zbyt gorliwych inkwizytorów. Inocenty VIII w ciągu roku skasował 200 wyroków, Aleksander VI w r. 1498—250 i t.d.

Król hiszpański czuł się obrażony owem nieustannem wtrącaniem się Ojca św. do sądownictwa i nawet od 1509 zagroził karą śmierci za ogłoszenie w Hiszpanji rozporządzeń Rzymu przeciw trybunałowi inkwizycyjnemu. Państwo kościelne stało się schronieniem uciekinierów.

Przyjrzawszy się Inkwizycji katolickiej, spójrzmy teraz na to, co się działo wówczas w innych krajach. Dojdziemy do przekonania, że tam działo się stokroć gorzej, nie było zgoła żadnych krępujących ograniczeń.

Luter twierdził, że w obronie papistów żadne prawo nie przemawia, ani boskie, ani ludzkie. Gdy u Jakóba Gruet'a znaleziony został list niekorzystny dla Kalwina, wówczas stosowano do nieszczęśliwego dwa razy dziennie tortury, aby zwalił winę na Franciszka Favre, którego Kalwin chciał się pozbyć.

Gruet błagał katów o śmierć, której się doczekał dopiero po miesiącu. Serwet w obecności Kalwina został spalony. W Genewie za publiczne wyznanie katolicyzmu groziła kara śmierci. W Anglji za czasów Elżbiety w latach 1583—1603 ginie 60.000 katolików. Po spisku prochowym, na każdego księdza, któryby postawił nogę na gruncie angielskim i nie wyrzekłby się wiary, na każdą osobę, któraby się nawróciła, lub kogoś nawrócić usiłowała, kodeks karny przewiduje potrójną karę: szubienicy, ćwiertowania i wyrzucenia wnętrzności.

A cóż wreszcie powiedzieć o okrutnej zasadzie protestanckiej: czyje państwo, tego religja. Jeśli księciem jest protestant, to i poddani są zmuszeni do wyznawania jego wiary. Dość powiedzieć, że miasto Oppenheim 10 razy zmieniło swą religję do 1648 roku.

Spójrzmy teraz na tortury z piedestału kultury XX wieku. Czyż obecnie one nie istnieją? Czem to sobie wytłumaczyć, że różni zbrodniarze wyśpiewują na śledztwie potulnie wszystko o swych morderstwach. To zagadnienie dla nikogo nie jest tajemnicą. Raz po raz w różnych krajach podczas rozpraw sądowych padają oskarżenia pod adresem policji, które „pro publico bono" pomija się milczeniem. W imię prawdy należy przyznać, że powyższe praktyki stosowane są ukradkiem. Jeśli chodzi o tortury jawne to można powiedzieć na obronę średnich wieków, że taki renesans i inne epoki niosące „wyzwolenie" człowiekowi nie były lepsze. Widziały wbijanie na pal, lanie roztopionego ołowiu i rozrywanie końmi (Rawaillac 1610) i inne wszelkiego rodzaju najbardziej fantastyczne w swem okrucieństwie morderstwa, a rewolucja francuska, roniąca krokodyle łzy nad ofiarami Inkwizycji, przelała rzeki krwi niewinnej. Fotel elektryczny jest właściwie ulepszonym sposobem palenia na stosie. Jakie męki zadaje, może się każdy przekonać w miniaturze, chwyciwszy za przewodnik o słabym napięciu.

Nie jeden jednak entuzjasta „postępu" przed wojną mógł się łudzić, że w ciągu XIX wieku dobroczynne światło kultury wygnało z dusz ludzkich zwierzęce okrucieństwo. Dziś tych złudzeń nie mamy. Istnieją bowiem na świecie naprawdę na wielką, nowoczesną skalę zorganizowane dwie rzeźnie, dwie gehenny ludzkości: Meksyk i Rosja. Weźmy statystyki ludzi pomordowanych w owych krajach i zestawmy nawet z najbar-

dziej przesadnie powiększoną liczbą ofiar „mrocznego średniowiecza". Cóż za upokarzający stosunek? Nie będę wspominał o naszym wschodnim sąsiedzie. Zbyt dobrze są znane losy owych miljonów ludzi, którzy przewinęli się przez więzienia czrezwyczajki. Stosunki, panujące w Meksyku, są mniej znane, i oto kilka przykładów wyjętych z tysięcy podobnych: Anakleto Gonnales Flores, Ramou Vargas Gonzales i Jorge Vargas Gonzales byli katowani, potem wieszani na dachu więzienia, lecz ponieważ jeszcze żyli, byli kłóci nożami, kopani po twarzy, wreszcie zastrzeleni. Manul Bouillas został przybity do krzyża. W mieście sąsiednim młodym katolikom zdzierano skórę z głowy i z palców. I cóż na owe zbrodnie mówią liberałowie, radykali, socjaliści, ów kwiat postępu, szermierze „wolności"? Stają wyraźnie po stronie katów, lub w najlepszym razie milczeniem dają znak aprobaty*).

Reasumując to wszystko, co wyżej powiedziałem, należy stwierdzić: W duszy człowieka istnieją ukryte żądze krwi i mordów. Ujawniają się one we wszystkich czasach. Widzimy je i w średniowieczu, gdzie się objawiały między innemi w torturach. Wtedy jednak miały potężny hamulec w wierze Chrystusowej, która kilka wieków przedtem wróciła wolność miljonom niewolników. Dziś nic nie powstrzymuje namiętności. Duch niewiary ogarnia narody. Nadchodzą czasy, w których praktyki Inkwizycji stają się sielanką. Wtedy jeśli popełniono sporadycznie występek, wina płynęła ze zbytniej gorliwości młodego społeczeństwa. Dziś popełnia się masowe rzezie w imię zaspokojenia krwiożerczych instynktów bestji ludzkiej.

Józef Lubicz.

Co sądzić o strajku?

II.

Panujący wszechpotężnie w wieku XIX liberalizm, wyzuty z zasad chrześcijańskich, głoszący hasła niczem nieskrępowanej swobody i wolności, hamował należyte uporządkowanie stosunków socjalnych.

Nędza beznadziejna, jaka opanowała masy pracowników najemnych, dyktowała im radykalne posunięcia — zwłaszcza

*) Niedawno gazety donosiły o straszliwym torturowaniu sprawcy zamachu na ministra meksykańskiego.

wobec tych przemian, jakie nastąpiły w produkcji w okresie wprowadzenia szeregu wynalazków technicznych. Bezrobocie i wyzysk mas pracujących ze strajku uczyniły narzędzie buntów, dzikich, bezprawnych walk o polepszenie warunków pracy. Mordy, pożary fabryk, niszczenie maszyn były niemal nieodłącznemi akcesorjami ruchów strajkowych.

Rzecz oczywista, że strajki takie, jako odruchy rozpaczy, kończyły się całkowitą klęską, zwłaszcza, iż nie znajdowały usprawiedliwienia w ówczesnym ustroju prawnym. Surowe zakazy prawne w niczem sytuacji nie naprawiały, przeciwnie drażniły one zrozpaczone masy, pozbawione należytej ochrony prawnej, sprowadzając w konsekwencji coraz bardziej namiętnością zapalone walki socjalne. Dopiero zniesienie zakazów zrzeszania się, a w związku z tem, na skutek rozwoju związków zawodowych, strajki wybuchowe i połączone z rozruchami stopniowo zanikały. Strajki przybierały łagodniejsze formy. Zamiast buntów, rozruchów, mamy planową akcję, kierowaną przez przywódców robotniczych. Zakazy strajków stopniowo zostają uchylane — a odpowiedzialność karna redukuje się do zwykłych przestępstw, które akcesoryjnie przy strajku niejednokrotnie mają miejsce. Strajki stawały się rzadsze, bo z jednej strony opór pracodawców zorganizowanych był większy z drugiej zaś strony i związki zawodowe liczyły się ze swoim stanem finansowym, który miarkował lekkomyślne decyzje. Rozumie się, że związki zawodowe, ulegające silnym wpływom socjalistycznym i anarchistycznym nie mogły opanować należycie mas, poruszonych do strajku mirażami lepszego jutra.

Przywódcy robotników, chcąc mieć wpływ na masy i zachować kierownictwo w swych rękach musieli niejednokrotnie ulec tym masom i formy strajków zaostrzać, stąd też, gdy strajki ogłoszono, przybierały one formy ostre, trwały czas dłuższy, obejmowały coraz większe rzesze robotnicze, rozlewały się po całym kraju—stając się nierzadko strajkami powszechnemi i generalnemi.

W miarę jednak wzrostu uświadomienia społecznego w masach, w miarę tężyzny wewnętrznej i rozwoju związków zawodowych, strajk stawał się coraz rzadszym środkiem walki o poprawę bytu robotników, ustępując miejsca polubo-

wnemu rozstrzyganiu spraw socjalnych i akcji rozjemczej (Anglja, Niemcy).

Utrzymane w niektórych krajach kary za strajk, podyktowane interesem ogólnym, dotyczą wyjątkowo ważnych działów życia gospodarczego i społecznego np. zakazy strajków w piekarniach, szpitalach, na pocztach, kolejach, w urzędach państwowych i t. d.

Przebieg strajku zależy od wielu czynników m. in. od płci osób strajkujących, od charakteru narodowego, od stopnia uświadomienia obywatelskiego i t. d.

Pod koniec wieku XIX i na początku XX-go liczba strajków wzrosła, zwłaszcza w Anglji po 1910 r. Przyczyną ich—drożyzna, wzrost skali wymagań życiowych pracowników, ponadto spotęgowana działalność socjalistyczna.

W pierwszych latach wojny europejskiej strajki ustały. Tłumaczyć to zjawisko należy poczuciem patrjotyzmu mas pracujących, rzadziej presją rządową. W miarę jednak trwania wojny, a w konsekwencji pogarszania się sytuacji gospodarczej państw walczących, osłabiania tężyzny moralnej strajki w następnych latach wojny wybuchają, po obu stronach frontów. Po wojnie fala strajkowa płynie szeroko poprzez całą Europę Spotykamy się nietylko ze strajkami ekonomicznemi, ale i z politycznemi.

Strajki polityczne organizowali socjaliści i komuniści, pragnąc na wzruszonych i zachwianych pozycjach ustroju kapitalistycznego zorganizować ustrój kolektywistyczny.

Strajki te przybierały formy bardzo ostre—rewolucyj socjalnych. Najobfitszym w strajki był rok 1921. W roku tym strajkowało 13.219.179 pracowników, stracono 274.894.879 dni pracy—w Polsce w tym czasie strajkowało 531.670 ludzi, stracono 8.429.720 dni pracy.

Następne lata notują cyfry stosunkowo mniejsze:

Rok	Ilość zakładów	Ilość strajkujących	Ilość straconych dni pracy
1925	532	148.527	1.284.553
1926	590	145.493	1.422.540
1927	602	232.504	2.429.070

* * *

Jak się na strajk zapatrywały najważniejsze teorje ekonomiczne?

Liberalna ekonomja miała niemało trudności z tem zagadnieniem. Liberalizm hołdujący zasadom wolności nie mógł nie uznać prawa botników do strajku.

Wszak wolność zaniechania pracy jest wynikiem wolności pracy. Strajk jednak przeszkadza w pracy innym robotnikom, chcącym pracować, przeszkadza swobodnej produkcji, hamuje proces powiększania zysków. Strajk zatem przeszkadza swobodnemu rozwojowi stosunków gospodarczych, które mają tendencję do układania się harmonijnie. Skoro jednak jednostka ma prawo zaniechać swej pracy, musi to uczynić i zbiorowość. Z tych jednak założeń wolnościowych płyną następujące konsekwencje:

Strajkujący nie mogą pozbawić nikogo prawa pracy (nie mają prawa wywierać przymusu strajkowego) nie mogą spełniać żadnych czynności prawem zakazanych, obowiązani są do odszkodowania za wyrządzoną osobom trzecim szkodę.

W Anglji związki zawodowe odpowiedzialne były majątkowo za szkody i straty, wyrządzone przez strajk.

Socjalizm uważa strajk za formę rewolucyjną walki klasy robotniczej z panującym i bezradnym kapitalizmem, rozgrzesza tę akcję całkowicie.

Istota strajku polega na tem, że wyrządza on straty przeciwnikowi, a ponieważ jest walką, przeto i osoby trzecie, choć nie wmieszane do zatargu, również muszą cierpieć. O odszkodowaniu nie można tutaj mówić, gdyż strajk jest walką, jest, niezwykłym, wyjątkowym objawem życia społeczno gospodarczego.

Dobro klasy robotniczej jest „Suprema lex" przeto dobro ogólne musi wobec potrzeb mas pracujących ustąpić.

Szkoła chrześcijańsko—społeczna uznawała zawsze możność strajku.

Na tem miejscu pozwolę sobie przytoczyć znakomite uzasadnienie tej kwestji, dokonane przez chlubę naszej socjologji katolickiej, jaką jest ks. prof. Antoni Szymański, wice rektor Uniwersytetu Lubelskiego, Prezes Związku Senjorów Stow. Młodz. Akad. „Odrodzenie". Otóż w dziele X. prof. Szymań-

skiego (na podstawie którego kreślę niniejsze uwagi o strajku) p.t. „Polityka Społeczna" str. 214 czytamy o strajku co następuje: „prawo przyrodzone nakłada na człowieka obowiązek pracy, ale nie ściśle określonej. Robotnik ma prawo pracowania u tego lub innego pracodawcy oraz w takich lub innych warunkach, o ile się tej wolności nie wyzbył na skutek umowy. Pracodawca nie ma prawa żądania, o ile nie zawarł umowy, aby robotnik u niego pracował. Samo zaniechanie pracy jest chwilowem, przeto nie sprzeciwia się obowiązkowi pracowania na swe utrzymanie. Powtóre, cel zaprzestania pracy jest ex supposito godziwy.

Zło zaś, stąd wynikłe, nie jest zamierzonem, lecz przypadkowem, zarówno w stosunku do osób trzecich, jak i względem pracodawcy. Robotnik nie wykonywa czynności, zmierzającej bezpośrednio do krzywdzenia pracodawcy, nie posługuje się wobec niego przymusem fizycznym, lecz jedynie wskutek niezgłoszenia się z pracą lub wskutek wstrzymania się od pracy, sprawia, że przemysłowiec ponosi straty, bo nie może uruchomić swych warsztatów pracy. Otóż te straty, rozumują robotnicy, powinny go skłonić do zadośćuczynienia ich słusznym postulatom.

Również pośrednie straty osób trzecich, niezamierzone, nie są dostateczną przyczyną do zaniechania swego prawa.

Nie każdy strajk jest godziwy. Warunki godziwego strajku są następujące: 1) dotrzymanie zobowiązań kontraktowych, czego domaga się sprawiedliwość, 2) godziwość celu, 3) konieczności.

W dalszych swych wywodach X. prof. Szymański analizuje wymienione wyżej warunki godziwego strajku.

Co do dotrzymania zobowiązań kontraktowych, to należy ustalić tezę, iż strajk zaczęty przed wygaśnięciem umowy jest niesprawiedliwy, a zatem obowiązuje do naprawienia krzywdy. Jednak można usprawiedliwić i strajk zaczęty przed wygaśnięciem umowy, muszą tu być jednak przyczyny ważkie i opierające się na sprawiedliwości, np. w czasie trwania kontraktu zaszły tak istotne zmiany, że zawarta umowa nie odpowiada obecnym warunkom, że np. wskutek spadku waluty zarobek nie wystarcza na pokrycie koniecznych potrzeb, że

wykonanie umowy naraża na bezpośrednie niebezpieczeństwo grzechu i t. p.

Godziwym strajk jest wówczas, gdy ma na celu obronę przed niesprawiedliwością, lub wywalczenie sprawiedliwego prawa. Jedno i drugie powinno być następstwem akcji ugodowej, kontraktowej, lub interwencji rządu. Stąd też do strajku można się uciec dopiero wtedy, gdy wszelkie środki pokojowe podyktowane roztropnością, poczuciem porządku społecznego i miłością chrześcijańską zawiodą.

Strajk popierającey, wszczęty dla obrony praw innych robotników, wtenczas tylko musi być usprawiedliwiony, gdy strajk główny jest sprawiedliwy i gdy przegrana strajku głównego zmieniłaby zasadniczo warunki pracy innych robotników, albo gdy pracodawca, u którego robotnicy nie strajkują, podtrzymuje pracodawcę, przeciwko któremu użyto strajku, lub współdziała z nim w utrzymaniu pozycji, będącej przedmiotem strajku. Gdy tych okoliczności niema, robotnicy, popierający cudzy strajk, wyrządzają szkodę temu, kto nie zawinił i kto niema bezpośredniego, ani może nawet pośredniego wpływu na usunięcie niesprawiedliwości lub zadośćuczynienie postulatom.

A zatem nasze uświadomione po katolicku społeczeństwo, oceniając godziwość strajku na powyżej zaznaczone pytania musi sobie odpowiedzieć, po dokładniejszym zbadaniu konkretnych warunków strajku.

Do trafności sądu trzeba mieć duże poczucie rzeczywistości, objektywne dane o strajku i gruntowną wiedzę ekonomiczno-społeczną, na których nam katolikom, odsuwanym i dobrowolnie odsuwającym się od trudności życia, nieraz zbywa.

W związku z oceną godziwości strajku wyłania się inne zagadnienie, a mianowicie: czy przymus strajkowania musi być uzasadniony?

Powodzenie strajku zależy w dużej mierze od niedopuszczenia do pracy „łamistrajków".

Powstaje zatem konflikt między strajkujacemi a temi, którzy chcą dalej pracować względnie temi, których przedsiębiorca chce do pracy zaangażować. Strajkujący chcą wykorzystać prawo strajku a niestrajkujący uniemożliwiają im zrealizowanie tego prawa, przyczem niestrajkujący powołują się

na wolność pracy, którą podejmują na utrzymanie. Zachodzi tutaj konflikt dwóch równych praw, a zatem prawo mniej ważne ze względu na okoliczności, musi ustąpić w ażniejszemu. Tak np. obrona przed niesprawiedliwością jest ważniejsza, niż zyskanie zarobku niekoniecznego do egzystencji, ale odwrotnie, konieczność zarobku na utrzymanie siebie i swej rodziny jest ważniejsze niż polepszenie dobrobytu lub znośnych warunków pracy. Ustąpić winni ci, których prawo jest mniej ważne, jeśli ustąpić nie chcą, wtedy ci, których prawo jest ważniejsze są uprawnieni do obrony środkami dopuszczalnemi przez prawo i godziwemi.

Mamy zatem tutaj zjawisko społeczne, do którego oceny potrzeba u przywódców wysokiego wyrobienia moralnego, roztropności i znajomości rzeczy.

Zarysowane zagadnienie strajku wysuwa szereg postulatów pod adresem naszego społeczeństwa katolickiego, musimy: 1) szerzyć zainteresowanie dla zagadnień społecznych, 2) starać się o wpływy w życiu gospodarczym i społecznym, 3) popierać organizacje zawodowe chrześcijańskie i 4) wychowywać przywódców robotniczych.

Zainteresujmy się powstającym w W-wie i innych środowiskach Chrześcijańskim Uniwersytetom Robotniczym, poprzyjmy jego prace, w tym przekonaniu, że niewątpliwie z jego grona wyjdą przywódcy pracowników, służący zasadom sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej.

* * *

W następnym i ostatnim artykule omówię gospodarcze i moralne znaczenie strajków, poczem zreasumuję w paru tezach poprzednie wywody i wskażę na coraz bardziej zmniejszającą ostrze strajków akcję polubowną i rozjemczą.

Bogumił Budka.

Metody pracy w Chrześcijańskim Uniwersytecie Robotniczym.

W numerze poprzednim pisaliśmy o powstaniu tej ważnej placówki kulturalno-oświatowej w duchu katolicko-społecznym, jaką jest Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy.

Obecnie chcemy poświęcić kilka uwag metodom pracy na terenie Uniwersytetu.

W miejscowości, gdzie istnieją chrześcijańskie związki zawodowe, Stowarzyszenia robotników chrześcijańskich, lub jedne i drugie założenie Uniwersytetu jest bardzo łatwe, bowiem wyżej wymienione organizacje dostarczą słuchaczy i bardzo często lokalu, a nawet w pewnych wypadkach już istniejącą bibljotekę będzie można zużytkować do akcji Uniwersytetu. Działacze więc, organizujący Ch. U. R. z upoważnienia Zarządu Głównego winni mieć to na uwadze, aby nie rozpraszać niepotrzebnie sił, lecz korzystać z gotowych już placówek.

Musimy tu przeprowadzić rozróżnienie dwóch rzeczy: samego stowarzyszenia Ch. U. R.-u i instytucji kulturalno-oświatowych przez to stowarzyszenie prowadzonych. Różnice między nimi zachodzące są takie, jak między przyczyną a skutkiem, wychowawcą a wychowankami, budowniczym, a budynkiem.

Do Stowarzyszenia Ch. U. R-u, a zwłaszcza jego zarządu wchodzić winni nieliczni działacze (od 70 do 20 osób), kierujący akcją kulturalno-oświatową danej miejscowości, a wykłady, odczyty, akademje, obchody, wycieczki, ćwiczenia sportowe, kursy, organizowane przez Stowarzyszenie Ch. U. R-u są z reguły dostępne dla jaknajszerszych mas ludności, a zwłaszcza młodzieży i im więcej ludzi będzie w nich brało udział, tym szersza i skuteczniejsza będzie działalność Ch. U. R-u.

Oczywiście działalność tę należy odpowiednio zorganizować aby ludzie się nie rozpraszali i nie zniechęcali, ani nie nudziła ich jednostajność ciągle jednych i tych samych funkcyj.

Wykłady perjodyczne przedmiotów (Literatura, Historja, Etyka, Ekonomja, Doktryna chrześcijańsko-społeczna, Arytmetyka, Przyroda i t. d.) nie są jedyną funkcją Ch. U. R-u i należy się z góry liczyć z tem, że zwłaszcza na początku działalności wykłady perjodyczne nie będą się cieszyły zbyt dużą frekwencją, raczej akademje i wieczory dyskusyjne będzie darzyć robotnik większą sympatją.

Większe zainteresowanie wśród młodzieży obudzą t. zw. sekcje, polegające na ścisłej współpracy kierownika z kilkoma lub kilkunastoma członkami (8—12 osób) w celu przerobienia jakiegoś specjalnego zagadnienia (np. Encyklika Rerum Novarum) i nauczenia ich równocześnie, przemawiania na temat tego zagadnienia. Sekcje takie przybierać powinny, tam, gdzie to jest możliwe, charakter szerszy t. zw. kursów: ideowych, dla in-

struktorów, dla prelegentów i t.d. i kończyć się nawet rozdawaniem świadectw tym, którzy je ukończą z wynikami dostatecznymi. Świadectwa takie winny dawać pierwszeństwo przy obejmowaniu posad instruktorów, prelegentów kulturalno-oświatowych i t. d.

Największe zainteresowanie wśród młodzieży wywołują niewątpliwie sport i wycieczki. Temu działowi trzeba będzie poświęcić oddzielny artykuł.

Na razie tylko zaznaczymy, że sport i wycieczki służą dwóm celom: 1) wyrobieniu fizycznemu młodzieży 2) daniu tej młodzieży godziwej rozrywki. Młodzież potrzebuje czegoś, odpowiadającego jej zainteresowaniom i potrzebom młodego temperamentu. Wychować młodzież musimy środkami nowoczesnemi. Musimy wytworzyć sport bez rozpasania obyczajowego, sport służący celom katolicyzmu.

Założenie i prowadzenie w danej miejscowości Ch. U. Rob. nie jest tak trudne, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Oczywiście, trudniejsze znacznie jest tam, gdzie niema organizacyj, na których możnaby się oprzeć.

W takich miejscowościach trzeba zacząć od zorganizowania elity zapomocą sekcyj, umiejętnie popularyzować instytucję wśród mieszkańców zapomocą dorywczych imprez, jak odczyty, akademje, obchody, a potem wynająć stały lokal i zorganizować perjodyczne przedsięwzięcia.

Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy — to wielki egzamin dla naszej inteligencji prowincjonalnej: duchownej i świeckiej. Socjaliści i radykali takie egzaminy zdawają wyśmienicie. Zobaczymy, czy inteligencja katolicka zbudowana jest z gorszej, czy lepszej gliny.... *S. J. K.*

Idea morska w Polsce przedrozbiorowej.

W społeczeństwie naszem utarło się powszechne mniemanie, że byliśmy zawsze narodem nawskroś lądowym i że obcemi nam były wszelkie dążenia morskie. Jest to pogląd w wysokim stopniu błędny i przeczą jemu nasze dzieje, a w szczególności historja owych czasów, kiedy naród dojrzewał i zajmował mocarstwowe stanowisko w Europie. Przyczyn rozpowszechnienia tego błędnego miemania szukać należy w dwóch źródłach:

1) Nić tradycji łączy nas najsilniej z czasami, które stosunkowo niedawno przeszły, t. j. z wiekami XVIII i XIX, wiekami upadku i niewoli,

2) Pęd ku morzu występuje najsilniej u narodów w okresie ich dojrzewania i rozkwitu, co u nas miało miejsce w stuleciach XIV — XVI.

Zanim jednakże przejrzymy, choć pobieżnie, historję naszą i wskażemy na cały łańcuch wypadków, stwierdzających dążenia ku morzu u naszych praojców, należy nam samym, ich potomkom, jasno sobie uwydatnić, dlaczego każdy naród ku morzu dąży i dlaczego właśnie owo dążenie występuje najsilniej w okresie dojrzewania i rozkwitu danego narodu?

Aby odpowiedzieć na te dwa pytania, przypomnijmy sobie przedewszystkiem, że żaden naród, rozwijający się normalnie, nie może się rozwijać bez pomocy inych narodów i dla osiągnięcia tego rozwoju musi z temi innemi narodami wejść w stosunki. Tylko bowiem przez zawiązanie takich stosunków może on łatwiej i szybciej się rozwinąć, zdobywając sobie wszystko to, czego mu brak, a co posiadają jego sąsiedzi. Do zawiązania stosunków tego rodzaju potrzebna jest zawsze wygodna, a pewna arterja komunikacyjna. Najpewniejszą i najwygodniejszą, bo zawsze otwartą, bezpłatną jest droga morska. Zrozumiała to ludzkość od zarania swych dziejów i od wieków też dążyła ku morzom.

Podają nam to w starożytności legendy o wyprawach Fenicjan, Greków i Indusów oraz fakty o utworzeniu rzymskiej potęgi na morzu; mówi o tem średniowiecze w podróżach Hanzeatów, Normanów i Wenecjan; wskzują na to dzieje nowożytne w odkryciach nowych holenderskich, hiszpańskich i portugalskich, a wreszcie czasy najnowsze w kolonizacji zamorskiej Anglików, Francuzów, Niemców i Włochów. Pęd ku morzu występuje u narodów różnych ras, wierzeń i upodobań, a cechą wspólną dla tych narodów jest to, że występuje on zawsze wtedy, kiedy dany naród dojrzewa i rozkwita.

Nieobcym był też pęd ku morzu i w Polsce. Historja jego da się podzielić na dwa okresy: pierwszy, kiedyśmy ku morzu dążyli, i drugi, kiedyśmy to morze osiągnęli. Początki pierwszego datują się od chwili wprowadzenia chrześcijaństwa,

t. j. od wieku X, a drugi rozpoczyna się od 1466 r., kiedy zwyciężony Zakon Krzyżacki musiał podpisać pokój Toruński.

W pierwszym okresie widzimy systematyczne parcie ku brzegom Bałtyku naszych pierwszych Piastów: Mieszka I, sięgającego po Szczecin, Bolesława Chrobrego, fundującego biskupstwo w Kołobrzegu, i Bolesława Krzywoustego, pana na wybrzeżu morskiem od Szczecina za Gdańsk. Mimo podział państwa, mimo zamieszki wewnętrzne, mimo napady tatarskie i litewskie, mamy wyprawę Leszka Białego, zakończoną tragicznie w Gąsawie, który chciał siłą zmusić swego krnąbrnego wielkorządcę pomorskiego do należnego posłuszeństwa, i widzimy zwiastuna scalającej się Polski Przemysława, wkładającego na swe skronie koronę królewską po objęciu z powrotem Pomorza. Pierwsza połowa XIV wieku daje nam rozpaczliwe walki Łokietkowe z zaborczym Zakonem Krzyżackim, który tradycyjną zdradą i przeniewierstwem odepchnął nas od Bałtyku. Zrozumienie ważności tego dostępu było już szeroko rozpowszechnione w narodzie, bo pieśń ówczesna ostrzegała Kazimierza Wielkiego, aby nie zawierał pokoju z Krzyżactwem, nim nie odzyska Gdańska. Naród polski rósł, potężniał i parł ku brzegom bałtyckim, jak lawina. Przeciwko trzymającym nas za gardło u morza Krzyżakom zawarto unję z Litwą i grunwaldzka wiktorja dała znać Europie o powstaniu na wschodnich rubieżach nowego olbrzyma. Olbrzym ten w trzynastoletnich krwawych zapasach obalił niemieckiego zaborcę swych dzierżaw nadmorskich i, po wspomnianym poprzednio pokoju Toruńskim, zasiadł z powrotem na bursztynowem wybrzeżu.

Rozpoczął się drugi okres posiadania Bałtyku. Początkowo ze zwykłą nam dobrodusznością popełniono cały szereg omyłek. Pozostawiono albowiem lenno pruskie na wschodzie, dano hojne przywileje niemieckiemu Gdańskowi, nie zainteresowano się bliżej wygasającą dynastją książąt szczecińskich, nie dążono do ścisłego zespolenia Prus Królewskich z macierzą. Lecz trwało to niedługo: wojna z Moskwą otworzyła Zygmuntowi Augustowi źrenice na potrzebę posiadania własnej marynarki wojennej, na konieczność okiełznania Gdańska, na nieodzowność wcielenia Prus Królewskich do korony. W 1562 r. zatrzepotała nad bałtyckiemi falami bandera polskiej marynarki

wojennej, *) do hardego Gdańska przybyła komisja Karnkowskiego, a ślady autonomiczne w Prusach Królewskich zmiotła Unja Lubelska. Jednocześnie polskie wybrzeże morskie rozciągnęło się przez shołdowaną Kurlandję i uzyskane Inflanty do zatoki Fińskiej. O utrzymanie tego nowego pasa nad morzem walczył niezmordowanie z Moskwą Stefan Batory, umiejący ukracać buntownicze podmuchy Gdańszczan. Naród w całej pełni oceniał znaczenie tego wybrzeża morskiego, powołując na tron szwedzkiego królewicza, Zygmunta Wazę, i domagając się w pacta'ch conventa'ach od każdego elekta, aby tworzył flotę wojenną na Bałtyku. Tego ostatniego żądano nieprzerwanie od Walezjusza do Jana Kazimierza. Wszystkie światlejsze umysły w Polsce ówczesnej biły na alarm o potrzebie morza. Pisała to Anna Jagiellonka, głosili o tem kanclerze Zamoyski i Ossoliński, wskazywał na to hetman Koniecpolski i arcybiskup Solikowski. Konieczność panowania na morzu wystąpiła w całej pełni podczas wojen szwedzkich za Zygmunta III. Do gruntownych przygotowań w tej dziedzinie przystąpił Władysław IV. Tworzył on port koło Wielkiej Wsi u trzonu dzisiejszego półwyspu Helskiego, sypał fortyfikacje nadmorskie, zaciągał marynarzy do swej marynarki królewskiej, przeznaczał część dochodów z ceł morskich na utrzymanie floty, powołał do życia pierwsze w Polsce ministerjum morskie, t. zw. Komisję Morską, która działała sporadycznie za Zygmunta Augusta i Zygmunta III. Lecz zachodziło już słońce potęgi polskiej—szerokie niwy ukraińskie nęciły urodzajem, żyłka przedsiębiorczości ginęła coraz bardziej, rozpoczynał się zastój umysłowy i polityczny. Wkrótce nadeszły wojny Potopu, a niebawem na wawelskim zamku koronował się Sas. Sprawy morskie w Polsce umilkły. Jeszcze, jako ostatnie wspomnienie, mignęła próba po I rozbiorze Prota Potockiego uruchomienia żeglugi polskiej na morzu Czarnem, lecz i to roztopiło się w chwilach upadku i utraty niepodległości.

inż. Witold Hubert.

---

*) Godło tej bandery—ręka z krzywym mieczem—jest obecnie umieszczone na t. zw. proporcach naszej marynarki wojennej, czyli flagach, wywieszanych na dziobach okrętów wojennych, posiadających artylerję średniego i wielkiego kalibru.

Z teki p. Boya—Żeleńskiego.

Prasa codzienna doniosła, że wreszcie czynniki wpływowe zdecydowały się zagrać w otwarte karty i ogłosić projekt prawa małżeńskiego, przygotowany przez komisję kodyfikacyjną. Że projekt ten będzie sprzeczny z prawem kanonicznym i zasadami Kościoła katolickiego, nie ulega już dziś, niestety, wątpliwości.

Nic więc dziwnego, że jeszcze przed ogłoszeniem projektu rozpoczęła się w prasie sanacyjnej i radykalnej kampanja przeciwko *zasadom* małżeństwa katolickiego, inspirowana przez tych. którzy oddawna w ciszy swych lóż i gabinetów szykują się do stopniowego i systematycznego niszczenia wszystkiego, co katolickie w Polsce.

Organ obrządku szkockiego, „Epoka" wystąpiła w kilku artykułach, zbrojnych w argumenty przebrzmiałe już nieco i przestarzałe zagranicą, a powtarzane z uporem „radosnej twórczości" przez naszych rodzimych „uczniów" i „terminatorów".

Na niższym jednak i to znacznie poziomie stoją drukowane w „Kurjerze Porannym" feljetony p. Boya-Żeleńskiego, na temat zagadnienia małżeństwa i ślubów cywilnych.

Po przeczytaniu ich, zdumienie musi ogarnąć, każdego nieuprzedzonego czytelnika, który słyszał o Boyu-Żeleńskim, jako o znanym tłumaczu pism autorów francuskich, między którymi przecież, oprócz „Żywotów pań swawolnych", znajdowały się również i dzieła poważne..., jako o autorze ciekawych dowcipnych i pisanych z dobrym smakiem krytyk teatralnych.

Niestety, zdarza się często, że lekarz nie potrafi uleczyć samego siebie, a krytyk skrytykować swoich własnych wystąpień pseudopublicystycznych. Prawdy te najdobitniej odzwierciedlają feljetony p. Żeleńskiego.

Tłumacz i krytyk teatralny zapragnął zostać prawodawcą i nieledwie reformatorem religijnym i skompromitował się setnie. Wywody jego zarówno w treści, jak i formie stoją doprawdy na poziomie trzeciorzędnego conferencier'a prowincjonalnego qui pro quo.

To też z prawdziwym niesmakiem przystępujemy z najcięższego obowiązku do omawiania tych feljetonów. Trzeba będzie potem przepłukać usta wodą kolońską i odczytać na głos kilka ustępów z Balzaka, lub Sienkiewicza...

A więc odwagi—pogrążmy się na chwilę z grząskiej topieli „argumentów“ p. Żeleńskiego.

Trudno z nich wyłowić coś istotnego, gdyż wszystkie one obracają się w dziedzinie rozmaitych insynuacyj i inwektywów przeciwko hierarchji kościelnej, a zwłaszcza konsystorzom (ecrasez l'infame, il restera toujours quelque chose) — oraz bardzo płaskich dowcipów. Zróbmy jednak próbę posegregowania ich na pewne dziedziny.

Pierwszy argument dotyczy adwokatów konsystorskich. P. Żeleński zarzuca im niski poziom moralności zawodowej, który przejawia się w tem, że dopuszczają się jakoby częstych szalbierstw, poszukując dowodów per fas et nefas. Na poparcie tego zarzutu przytacza urywki listów, oczywiście bez nazwisk autorów, które miał otrzymać w tej sprawie. I na tem się opierając, domaga się reformy prawa małżeńskiego.

Nie będziemy kwestjonowali autentyczności, tych listów, choć sprawdzić ich nie mamy sposobu. Na inną natomiast okoliczność zwrócimy uwagę, p. B. Ż. Szalbierstwo, oszustwo i krzywoprzysięstwo są, niestety, występkami popełnianymi często przez ludzi, zwłaszcza w postępowaniu sądowym, gdy interesy stron są poważnie zagrożone i jednostki o niskim poziomie moralnym pragną je ratować za wszelką cenę.

Czy sąd państwowy, lub konsystorz, zdolny jest wykryć i udowodnić wszelkie szalbierstwa i oszustwa, popełnione w postępowaniu przez ludzi złej woli?

Czy takie fakta nie zdarzają się stale od początku świata zarówno przed sądami duchownymi, jak i świeckimi? Czy sądy nie są wobec nich często bezsilne?

Niech p. Ż. przysłucha się kiedy uważnie zeznaniom świadków, składanym przed sądem pokoju, a wówczas przekona się, iłu świadków kłamie w ten sposób, że nikt im tego nie udowodni, przekona się, jak niezwykłej trzeba znajomości przedmiotu, przytomności umysłu i intuicji ze strony sędziów, żeby odróżnić prawdę od fałszu i zakwalifikować, które zeznania są wiarogodne, a które nie, jak bardzo często najlepsza znajomość prawa i najdłuższa praktyka są bezsilne wobec coraz bardziej perfidnych pomysłów.

Jakie p. Ż. ma dowody, że sędziowie świeccy są pod tym względem lepsi i pewniejsi od duchownych, że sądzenie spraw mał-

żeńskich przed sądami świeckiemi zapewniłoby lepszy wymiar sprawiedliwości.

Zupełnie przeciwnie. Twierdzę, że ilość nadużyć zwiększyłaby się przy małżeństwie świeckim poprostu dlatego, że więcej byłoby sposobności do nadużyć więcej t. zw. „kruczków".

Gdy dzisiaj strony stają przed konsystorzem i żądają unieważnienia, powoływać się mogą na brak formalnego ślubu (matrimonium non ratum), brak wieku żądanego przez prawo, przymus, błąd, co do tożsamości osoby, brak zdolności fizycznej, bigamję, śluby zakonne, lub wyższe święcenia, pokrewieństwo, lub powinowactwo, przestępstwo i niechrześcijańską religję jednej ze stron. To bodaj wszystko.

Otóż po zaprowadzeniu „ślubów cywilnych" te same powody do unieważnienia, służyć będą częściowo do unieważnienia, a częściowo do rozwodu (może z wyjątkiem ślubów zakonnych i święceń kapłańskich, który to powód zachodzi bardzo rzadko). Ale prócz nich jeszcze inne, między którymi główną rolę będzie odgrywać t. zw. złośliwe opuszczenie i cudzołóstwo jednej ze stron (istniejące już w obecnym kodeksie w części dotyczącej protestantów).

Jakież to wielkie pole do nadużyć. Wszak wiele osób, chcących się rozwieść będzie poprostu rozmyślnie dopuszczało się zdrady małżeńskiej lub „złośliwego opuszczenia" małżeńskiego, aby tylko uzyskać ozwód. Przepis taki będzie stanowił prawdziwą premję za szalbierstwo. To co dzisiaj dzieje się wyjątkowo (oszukańcze dowody), będzie wówczas na porządku dziennym.

Jak w świetle tej analizy wygląda teza p. B. Ż., że dla zmniejszenia istniejących nadużyć należy czemprędzej zaprowadzić śluby cywilne. Wszak nadużycia te przy małżeństwie cywilnem jeszcze bardziej się zwiększą! Otem mówi statystyka rozmaitych państw.

Jedno z dwojga. Albo p. B. Ż. nie zdaje sobie z tego sprawy, a wówczas można podziwiać jego nieinteligencję w dziedzinie przedmiotu, o którym tak szeroko pisze, albo też liczy na to, że feljetony jego będą czytywane tylko przez ludzi niekompetentnych i płytkich, lubujących się w pieprznych kawałach, i tłustych dowcipach.

Tym razem istotnie p. B. Ż. przeholował. Będąc „medecin malgré lui z wykształcenia, a literatem z powołania, chciał wi-

docznie zostać prawnikiem i został nim, ale—z nieprawdopodobnego zdarzenia!

Posłuchajmy kilku prawniczych ujęć p. B. Ż.:

„Młoda kobieta... (feljeton po b. odpowiednim tytułem: „Staśko z Dideretem, czyli flaki z olejem" w № 20 „Kurjera Porannego") zmienia religję i przeprowadza rozwód. Drugi mąż, korzystając z jej nieprawidłowej i nie chronionej prawem pozycji, wyzuwa ją z majątku, przeprowadza w sekrecie w konsystorzu katolickim unieważnienie małżeństwa (przyczem konsystorz nie zawiadomił jej ani o sprawie, ani o wyroku), poczem żeni się z inną, ograbiwszy tamtą ze wszystkiego, nawet z mieszkania. I nie ma wobec niej żadnych obowiązków; małżeństwo jego jest niebyłe.

Już w tym ustępie jest jeden nonsens z punktu widzenia prawnego: Oto drugi mąż nie mógł w żadnym wypadku ograbić tej pani, nawet gdyby bowiem został zwolniony przez sąd cywilny z płacenia jej alimentów — to w każdym razie nie mógłby niczego zatrzymać z jej osobistego majątku. A może p. B. Ż. nie wie o tem, że stosunki majątkowe między b. małżonkami po rozwiązaniu małżeństwa reguluje nie konsystorz, lecz sąd cywilny, a konsystorz tylko określa, po czyjej stronie jest wina?

Na pozór wydawałoby się, że nie wie, bo oto, co wypisuje w drugim feljetonie zatytułowanym wojowniczo: „kościelne bigamje":

„Pierwszą żonę po unieważnieniu małżeństwa mąż zostawił bez żadnego zaopatrzenia, pozbawił ją nawet mieszkania (ogromnie podobne do poprzedniego wypadku — przypisek red.). Kościół, uznając małżeństwo za niebyłe zwolnił go miłosiernie ze wszystkich obowiązków".

Jakby z sensu tego zdania wynikało, Kościół zwolnił go również z obowiązku zaopatrywania pierwszej żony, czyli według p. B. Ż. konsystorz miałby prawo ingerować w stosunki majątkowe, dotyczące już nie sakramentu, ale kontraktu. Ale cytujmy dalej:

„Pokrzywdzona żona wytoczyła proces przed sądem (domyślamy się, że cywilnym — p a.) otóż sąd wyrokiem swoim, skazującym męża na płacenie atimentów, stwierdził, że pierwsze małżeństwo jest legalne i ważne, a tem samem drugie, zawarte — najlegalniej z punktu kościelnego — w kościele katolickim, stało się wobec prawa konkubinatem. Gdyby sąd miał odwagę być konsekwentny, wytoczyłby temu mężowi proces o bigamję, księdzu zaś o to, że dał ślub człowiekowi legalnie żonatemu".

Gdyby p. B. Ż. przystępując do omawiania tych zagadnień zadał sobie trud chociażby pobieżnego przejrzenia naszego prawa małżeńskiego, dowiedziałby się zaraz:

1) że konsystorz nie może miłosiernie, czy nie miłosiernie

wydawać orzeczeń dotyczących stosunków majątkowych, gdyż te należą do sądów cywilnych i z reguły po każdym procesie konsystorskim odbywa się proces cywilny o uregulowanie stosunków majątkowych,

2) że wyrok skazujący na płacenie alimentów nie dowodzi jeszcze, że małżeństwo było legalnie zawarte, gdyż bardzo często na skutek unieważnienia małżeństwa jedna ze stron zostaje skazana na płacenie alimentów,

3) że sąd cywilny nie mógł wydać i napewno nie wydał orzeczenia w sprawie ważności małżeństwa zawartego w kościele katolickim, gdyż to należy do kompetencji właśnie sądów konsystorskich

4) że w wypadku bigamji prokurator obowiązany jest wszcząć sprawę z urzędu o stwierdzenie nieuczności byłego małżeństwa i o ukaranie strony winnej. Wypadek jednak, zacytowany przez p. B. Ż. nic z bigamją niema wspólnego.

Jest to poprostu kolizja prawna, sprzeczność zachodząca między częścią kodeksu małżeńskiego, dotyczącą katolików, a częścią, dotyczącą protestantów.

Poważny publicysta, piszący o tym zagadnieniu, zwróciłby uwagę na istnienie tej kolizji i konieczność jej usunięcia zapomocą znowelizowania odpowiedniej części kodeksu. P. Żeleński natomiast gmatwa tylko tę sprawę, której sam widocznie dobrze nie rozumie, ale gmatwanina ta nie jest pozbawiona pewnej tendencji. Istnieje plan w tym szaleństwie...

Czyżby p. Żeleński nie zdawał sobie sprawy, że całe jego „rozumowanie" w zastosowaniu do wyżej opisanego konkretnego wypadku da się odwrócić i zastosować przeciwko młodej damie, którą bierze w obronę. Wszak rzuca ona swojego pierwszego męża, któremu jest poślubiona według zasad małżeństwa katolickego, przechodzi na inne wyznanie i poślubia drugiego, aczkolwiek Kościół Katolicki nie unieważnił pierwszego węzła. Według własnych, aczkolwiek błędnych zasad rozumowania p. Żeleńskiego byłby to typowy przykład bigamji. Lecz, jeżeli tak—to to drugie małżeństwo słusznie zostało przez konsystorz unieważnione! Czemuż się więc gniewa o to „Boy-Mędrzec"?

A może według p. Żeleńskiego tylko małżeństwa, zawarte w kościele protestanckim, kalwińskim, czy prawosławnym są ważne i górują swoją wartością nad małżeństwami katolickiemi.

Jedno z dwojga: albo p. Ż. jest zwolennikiem wyżej wymienionej koncepcji, albo przewrócił się fatalnie na sliskim terenie własnego „rozumowania”. Zacytujmy jego własne słowa:

„I kiedy się widzi to absolutne liczenie na bezkrytyczność, powiedzmy na... głupotę czytelnika; kiedy się widzi złą wiarę argumentów, zaparcie się elementarnej rzetelności i logiki, doprawdy ogarnia smutek i zniechęcenie”.

Wierzymy... wierzymy... Smutek i zniechęcenie ogarnęły p. Żeleńskiego. Napisał w feljetonie, „że trochę sublimowanej” p.......... jest może najistotniejszym tworzywem idealnego pedagoga”, puscił nowe wydanie „Flirtu z Melpomeną”, wziął udział w wyborze Mis Polonji, a potem napisał jeszcze jeden feljeton o „konsystorskich dziewicach”. Jego moralność stupięćdziesięcioprocentowego „liberała” i „wolnomyśliciela” wzdrygnęła się na widok potwornych praktyk konsystorskich.

Przypatrzmy się temu godnemu obliczu, opromienionemu szlachetnym oburzeniem przeciwko szalbierzom i podwójnym buchalterom. Czy wam nikogo nie przypomina?

Gdyby Molier żył w dzisiejszych czasach stworzyłby niewątpliwie nowe wcielenie Tartuffe'a, żerującego, tym razem na liberaliźmie i wolnomyślności.

O! bo w dzisiejszych czasach daleko większą można zrobić karjerę na walce z Kościołem, niż na jego obronie. Tylko rozpocząć, a posypią się zaraz nagrody i odznaczenia. Trzeba tylko mieć dobry węch i zręcznie ucharakteryzować swoją postać à la Wolter i encyklopedyści, à la cyrulik sewilski, Figaro—Beaumarchais—według najświeższych i najbardziej nowoczesnych pojęć—z połowy XVIII-ego wieku...

* * *

Dwieście lat upłynęło od tego czasu, a p. Żeleński tkwi po uszy w trzęsawisku tych pojęć i metod przedpotopowych i ogłasza je dziś w Polsce, jako jakąś nadzwyczajną rewelację.

Ależ, panie, obudź się pan, nie narażaj się pan na śmieszność! Mamy za sobą cały wiek 19-ty. Wszak Quetelet już wymyślił statystykę. Mamy rezultaty liczbowe wyników, do jakich doprowadziło małżeństwo świeckie we Francji, w Anglji, w Stanach Zjednoczonych. Liczby te dotyczą w pierwszym rzędzie ciągle wzrastających rozwodów, następnie coraz liczniejszych objawów demoralizacji, a w końcu — katastrofalnej depo-

pulacji, której ofiarą padła Francja w rezultacie zastosowania w życiu doktrynek, których heroldem chce być p. Żeleński na gruncie polskim.

Ale to nie pójdzie tak łatwo. Nie wystarczy przetłumaczyć kilkadziesiąt dzieł literatury francuskiej i napisać kilka tysięcy mniej lub więcej frywolnych feljetonów, aby stać się od razu i socjologiem i prawnikiem i poważnym publicystą.

To też niech się nie łudzi p. Żeleński. Feljetony jego przeczyta z mniejszym, lub większym zadowoleniem ta kategorja czytelników, która należy do jego stałych wielbicieli, względnie wielbicielek — p. Żeleński już wie jaka.... lecz ludzie poważni przejdą nad nimi do porządku dziennego z uśmiechem politowania.

Wszak i sympatycznej naszej prymadonnie, Zuli Pogorzelskiej nieraz zdarzało się śpiewać o królu na deskach jakiegoś czarnego kota, czy qui pro quo, lecz mimo to nikomu nie przyszło na myśl nazwać ją badaczem myśli monarchistycznej w Polsce

* * *

W wywodach swoich używa p. Żeleński najordynarniejszej demagogji i drwin ze zdrowego rozsądku, zapomocą rozmaitych sofistycznych sztuczek.

Rozumuje np. w ten sposób: Katolicy popełniają najrozmaitsze nadużycia przy pomocy adwokatów konsystorskich, aby tylko pozbyć się niewygodnych więzów małżeńskich. Stąd rzekomo ma płynąć wniosek, iż Kościół powinien zmienić swoje ustawodawstwo małżeńskie i dostosować je od poziomu moralności przyjaciół i korespondentów p. Żeleńskiego.

Z tą sama słusznością możnaby np. żądać, aby państwo zniosło artykuły kodeksu karnego, nakładające karę na morderców, złodziei i fałszerzy, bo wszak istnieje wiele osób, dla których te przepisy są niewygodne. Dalejże więc — dostosować kodeks karny do poziomu moralności górnej części społeczeństwa!

Drugim argumentem p. Boya, którym chętnie szermuje jest kilka kolizji prawnych w obecnym prawie małżeńskim, którym zresztą p. Ż. nadaje charakter jakichś niezwykle groźnych i niebezpiecznych dla państwa konfliktów. Zgadzamy się, iż należy te kolizje usunąć. Ale p. Żeleński podaje, jako sposób ich usunięcia małżeństwo świeckie. I tu znówu występuje na jaw w całej swej okazałości jego niesłychana ignorancj .

Nie zdaje sobie widocznie sprawy, że system małżeństwa świeckiego nie tylko nie usunąłby tych konfliktów, ale by je do najwyższego stopnia zwiększył. Kościół ma bowiem swoje „non possumus", z których ustąpić nie może i nie ustąpi.

Wszak już raz za czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego obowiązywał u nas małżeński kodeks cywilny Napoleona. Lecz biskupi wówczas uznawali za ważne tylko małżeństwa zawarte w kościele, a wszelkie inne uważali za dowolne związki i konkubinaty. Jakie stąd wynikły w społeczeństwie kolizje i tragedje rodzinne — łatwo się domyślić aż wreszcie prawo małżeńskie zostało dostosowane do potrzeb katolików wierzących.

Cała opinja katolicka stała w tej walce jak jeden mąż po stronie episkopatu.

Czy p. Żeleński sądzi, że dzisiejsi katolicy ulepieni są z gorszej gliny i pozwolą tak łatwo na narzucenie sobie praw pogańskich, sprzecznych z zasadami ich religji! Zaiste, nie tędy droga do usuwania konfliktów między władzą świecką, a duchowną no i obywatelami wyznania katolickiego...

* * *

Pozostawiliśmy na koniec zarzut najcięższy. Oto p. Boy Żeleński tak przesiąkł widocznie atmosferą literatury francuskie XVIII wieku, że przejął w swoich pseudopublicystycznych wystąpieniach ówczesną zasadę taktyczną: „Ecracez, ecrasez l'infame, il restera toujours quelque chose!"

Stąd wypływa cały szereg nierzetelności, rozmaitych insynuacji, udogodnień i inwektywów, od których się roją wprost jego feljetony.

Do takich należy np. demagogiczny, gołosłowny i niczem nie udowodniony zarzut, jakoby konsystorz stosował w sprawach małżeńskich podwójną miarę, jedną dla biednych, drugą dla bogatych.

Niewątpliwie, zawsze bogatym łatwiej korzystać z życia niż biednym; i w urzędach i w sądach, wszędzie mają szereg ułatwień. Tak już, niestety, jest na świecie. W sądach np. mogą korzystać ze zdolnych adwokatów, wyszukiwać dowodów, choćby drogą uczciwą, lecz kosztowną (podróże, listy, fachowa porada) i t. d. Lecz wszak dzieje się to nietylko na terenie konsystorza.

Niech p. Żeleński uda się do sądów państwowych, a zobaczy to samo.

Stawianie zaś takich zarzutów konsystorzom jest szczytem demagogji i nieuczciwości w polemice. Wszak, jeśli chodzi o osądzenie sprawy, konsystorz nie może inaczej osądzić, jak tylko zgodnie z wyraźnymi przepisami kodeksu kanonicznego. Że przepisy te nie są zrozumiane przez klijentów, a zwłaszcza przez tych, kiórzy sprawę przegrali (zwykle jedna ze stron sprawę przegrywa, a druga wygrywa)—temu się nie dziwimy, objaw taki występuje i w sądach państwowych. Niech p. Boy opublikuje listy skazanych w ciągu jakiejś sesji klijentów jakiegoś sądu pokoju, a przekona się jakie będą skargi i niezadowolenia.

Przejdźmy teraz do uogólnień p. Żeleńskiego. W feljetonach swoich cytuje kilka nadużyć, popełnionych jakoby przez adwokatów konsystorskich. Jeżeli istotnie miały one miejsce—wszyscy przyłączą się do ich potępienia. Ale tu chodzi o co innego. Oto p. Żeleński w sposób perfidny uogólnia te zarzuty, łącząc je z zarzutami przeciwko duchowieństwu. Np. w ostatnim feljetonie pisze:

„Kamień grobowy odwalono Polska zaczęła żyć własnym życiem. Natychmiast kler wyciągnął rękę po nią niby po swoje prawe dziedzictwo...

A nieco dalej:

„Ta walka o władzę tłumaczy „podwójną buchalterję" konsystorza wobec tłumu a wobec uprzywilejowanych: tłum trzymać siłą, a możnych tego świata—ustępliwością. Stąd pobłażliwość dla jednych, nieprzejednanie dla drugich; stąd armja konsystorskich adwokatów, która się stała zorganizowaną instytucją fałszu i świętokradztwa. Stąd wynalazek nad wynalazki; — „konsystorskie dziewice"...

A więc uogólnienie. To co uczynił podobno (p. Żeleński żadnego faktu konkretnego z nazwiskami nie podał) jeden czy drugi adwokat, zwalane jest na barki całej palestrze, z której p. Żeleński robi coś w rodzaju zorganizowanej szajki przestępców. Nie dosyć na tem. Zarzuty przeciwko duchowieństwu i konsystorzom, są tak powiązane z zarzutami przeciwko adwokatom, że każdy przeciętny czytelnik je zidentyfikuje i powiąże z sobą, widząc głównych winowajców rzekomych nadużyć w hierarchji kościelnej.

Ecrasez ecrasez l'infame il restera toujours quelque chose...

A coby powiedział p. Żeleński, gdyby ktoś wysuwając pewne zarzuty przeciwko temu, lub owemu pisarzowi, czy kryty-

kowi teatralnemu, oświadczył, że wszyscy krytycy, pisarze, tłumacze są skończonymi szalbierzami, oszczercami i korsarzami przemysłu prasowego!

Niewątpliwie, byłoby to oszczerstwo, przesada, a przedewszystkiem uogólnianie poszczególnych wyjątków, branie części za całość...

* * *

Z uczuciem prawdziwej ulgi kończymy tę polemikę. Mamy wrażenie, jakbyśmy po przebyciu jakichś straszliwych bagnisk, owianych trującymi wyziewami, odetchnęli zdrową, normalną atmosferą.

Jeżeli z najcięższego obowiązku podjęliśmy ten wysiłek — to tylko dlatego, aby zdemaskować jedną z tych niesamowitych i ponurych masek, wędrujących bez celu tam i z powrotem po powierzch ni życia polskiego — nakształt tych larw, opisywanych przez Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu", nakształt tych duchów potępionych, przedstawionych z tak straszliwą plastyką przez Dantego w jego „Piekle", które kręcą się stale w jakimś niesamowitym, gorączkowym ruchu wirowym i nigdy nie mogą znaleść spokoju...

Ludziom tym musimy pozrywać z twarzy ich maski, aby opinja publiczna ujrzała ich właściwe oblicza—tryglodytów moralnych, nienawidzących wszystkiego co katolickie, gotowych doprowadzić społeczeństwo do demoralizacji i upadku, byleby tylko zadowolnić swój szał nienawiści.

Musimy w nich uderzyć i pokonać ich, aby prawda nie została pohańbiona przez fałsz i obłudę, aby Chrystus zwyciężył i panował w polskim narodzie.

Ale, jako chrześcijanie, nie możemy się do nich, jako do ludzi, odnosić z nienawiścią i nawet twardo zwalczając ich przewrotne zasady, czujemy w sercu szczery żal, że marnują się takie indywidualności i talenty, że ludzie, którzyby mogli wiele dobrego zrobić w Polsce — zaprzęgli się w służbę Antychrysta i staczają się na coraz niższe szczeble upadku...

Stefan Kaczorowski.

Baczność katolicy!

Śluby małżeńskie: kościelne, czy świeckie?

Już od dłuższego czasu w Polsce jest aktualną kwestja unormowania w nowym kodeksie cywilnym prawa małżeńskiego.

W swoim czasie kwestja ta była przedmiotem gorącej dyskusji na łamach prasy polskiej. Dzisiaj znowu rozpoczyna się dyskusja z okazji procesu wileńskiego przeciwko kalwińskiemu pastorowi, który przy łączeniu par małżeńskich postępował wbrew wszelkim przepisom prawnym.

Z głosów prasy widać, że jest jeszcze wielu w Polsce ludzi, którzy nie orjentują się zupełnie w dziedzinie prawa małżeńskiego, a mimo to chcą wywierać nacisk na Sejm, aby wprowadził do nowego kodeksu cywilnego zasadę ślubów cywilnych i rozwodów.

Ponieważ kwestja ta nie została jeszcze ustalana przez Sejm i Senat, przeto należy przypomnieć wszystkim, że uchwawalenie powyższej zasady, wprowadzającej w Polsce śluby cywilne i rozwody, byłoby bezprawiem, pogwałceniem wolności sumienia 22 miljonów obywateli państwa Polskiego, Konstytucji i Konkordatu.

Należy również obudzić czujność społeczeństwa polskiego i katolickiego, aby nie pozwoliło się skrzywdzić w dziedzinie, od której zależy moralne zdrowie i przyszłość nasza,

Małżeństwo i rodzina, to jest wielka i święta rzecz. Wielka, bo od niej zależy przyszłość i istnienie narodów; święta! bo jest z ustanowienia Bożego i rządzi się prawami Bożemi. Małżeństwo ustanowił Pan Bóg stwarzając Adama i Ewę, z wolą, by się rozmnażali, „Stworzył Bóg mężczyznę i białogłowę... i rzekł: roście i mnożcie się i napełniajcie ziemię“ (Gen. I 27, 28), to jest więc pierwszy cel małżeństwa: rodzenie i wychowanie dzieci. Pozatem jest jeszcze drugorzędny cel, mianowicie, wzajemna pomoc, „Niedobrze być człowiekowi samemu i uczyńmy mu pomoc jemu podobną“, (Gen, 2, 18), oraz zaradzenie pożądliwości ciała (I Kor. 7, 9). Stąd widzimy, że małżeństwo jest związkiem świętym i religijnym.

Istotnemi własnościami (proprietates) małżeństwa są jedność i nierozerwalność, która wyklucza rozwiązanie węzła małżeńskiego (rozwód) z wyjątkiem śmierci. Jedna i druga

własność pochodzą z prawa naturalnego i pierwotnego ustanowienia małżeństwa (Gen. 2. 24; I Kor. 6. 16; Efez. 5, 28). dlatego też mają moc obowiązującą dla wszystkich ludzi.

W małżeństwie zaś chrześcijan te własności otrzymują specjalne wzmocnienie ze względu na Sakrament. (Kan. 1013, § 2). Z ważnego więc małżeństwa powstaje dozgonny i wyłączny węzeł małżeński (Kan. 1110). Rozwód więc jest przedewszystkiem niezgodny z prawem natury, bo prowadzi do rozbicia społeczeństwa małżeńskiego, na którym opiera się cały byt społeczny. Następnie czyni niemożliwem osiągnięcie zasadniczego celu małżeńskiego — rodzenia i wychowywania dzieci. Szczególniej utrudnia wychowanie dzieci, do którego potrzeba długiego czasu, stałego i zgodnego współżycia obu małżonków. Gdyby małżeństwa mogły się rozchodzić według swej woli, wtenczas nie możnaby mówić o miłości między małżonkami, która tak bardzo jest potrzebna w rodzinie, a specjalnie przy wychowaniu dzieci.

Rozwody byłyby również przyczyną łatwych i ciągłych sporów małżeńskich, a co najważniejsza prowadziłyby do upadku moralności, o czem aż nadto boleśnie świadczą fakty w dzisiejszej Francji i Stanach Zjednoczonych.

* * *

Zasada nierozerwalności małżeńskiej wynika nietylko z prawa naturalnego, ale jest również oparta na prawie pozytywnem Bożem. Czytamy w Ewangelji św. Mateusza r. 19 w. 3 i następne, że gdy przystąpili do Pana Jezusa faryzeusze i zapytali Go, czy wolno mężowi oddalić żonę dla jakiejkolwiek przyczyny? Chrystus na to odpowiedział: „Czy nie czytaliście, że który uczynił człowieka na początku, mężczyznę i niewiastę? i rzekł: Dlatego też człowiek opuścił ojca i matkę i złączy się z żoną swoją i staną się (oni) dwoje jednem ciałem. Zatem niema już dwojga, ale jedno ciało Co więc Bóg złączył niechaj człowiek nie rozłącza.

Rzekli mu faryzeusze: „Dlaczegóż więc Mojżesz nakazał dać list rozwodowy i oddalić (ją)? Na to Pan Jezus odrzekł: „Mojżesz ze względu na twarde serca wasze pozwolił wam oddalić żony wasze; z początku jednak nie było tak”. To samo czytamy u św. Marka rozdz. 10 w. 2—12, u św. Łukasza, 16, 18 i w listach św. Pawła (I Kor. 7,10 i II Rzym. 7,2 i 3).

Z powyższych cytat widać, że Pan Jezus chciał. ażeby w małżeństwie, które już ze swej natury jest czemś świętem, dla wiernych była dodana specjalna łaska, którąby naturalną miłość udoskonaliła i wzmocniła jedność i nierozerwalność, czyli podniósł małżeństwo do godności Sakramentu.

Święty Paweł w liście do Efezów w rozdz. 5 wiersz 32 tak się wyraża o małżeństwie: „Sakrament to wielki, a ja mówię w Chrystusie i w Kościele". A ponieważ między Chrystusem a Kościołem jest stosunek łaski nadprzyrodzonej, więc i między mężem i żoną jest stan łaski przez ślub. Bo trzeba pamiętać o tem, że sakramentalna jedność małżeńska jest symbolem jedności, czyli połączenia Kościoła z Chrystusem.

Stąd też czytamy w Kodeksie prawa kanonicznego te słowa: „Chrystus Pan wyniósł do godności Sakramentu samąż umowę małżeńską zawieraną między ochrzczonymi. Dlatego między ochrzczonymi nie może istnieć ważna umowa małżeńska, którąby temsamem nie była Sakramentem". (Kan. 1012).

Natomiast małżeństwo nieochrzczonych jest umową niesakramentalną, przez którą mężczyzna i niewiasta, prawnie zdolni, przekazują sobie wzajemnie w sposób należny, dozgonne prawo do ciała, celem, rodzenia dzieci. Podobnie mówi Kanon 1081 Kodeksu prawa kanonicznego.

Przytem pamiętać należy, że sakramentalność małżeństwa wśród chrześcijan zawartego jest dogmatem wiary katolickiej. (Trid. ses. 24, can. et matr.)

Kodeks prawa kanonicznego odróżnia następujące podziały małżestwa: a) Małżeństwo ochrzczonych prawnie zawarte, zowie się *prawne* czyli *ważne* (ratum), jeżeli jeszcze jest niespełnione przez zupełny akt płciowy (copula perfecta); *prawne* i *spełnione* (ratum et consumatum) jeżeli między małżonkami odbył się akt małżeński, do którego ze swej natury zamierza umowa małżeńska, a przez który małżonkowie stają się jednem ciałem" (Kan. 1015). Przez ślub więc małżeński powstaje małżeństwo ważne, a przez należyty stosunek płciowy małżeński staje się spełnionem.

Absolutna więc nierozerwalność małżeńska dotyczy się tylko małżeństwa *prawnego i spełnionego* (ratum et consummatum).

Małżeństwo wiernych, jeszcze niespełnione, może być zer-

wane przez dyspensę papieską, lub przez uroczystą profesję zakonną; a małżeństwo nieochrzczonych przez użycie przywileju Paulińskiego.

* * *

Zasady nierozerwalności małżeńskiej Kościół katolicki zawsze ściśle przestrzegał o czem świadczą liczne postanowienia soborów i synodów jak również dekrety papieskie Innocentego I, Leona I, Innocentego III, Leona XIII w Encyklice „Arcanum". Wymownie również świadczy o tem walka Stolicy Apostolskiej przeciwko różnym książętom i królom, którzy żądali rozwodu: Henryk VIII, król angielski, Filip August, król francuski i t. p.

Z tego cośmy dotychczas omówili wypływa jasny wniosek, że małżeństwo jest instytucją Boską, musi więc podlegać prawom ustanowionym przez Boga. „Małżeństwo ochrzczonych rządzi się prawem Boskiem i kościelnem nie naruszając kompetencji władzy świeckiej odnośnie do skutków czysto świeckich małżeństwa (Kan. 1016).

Małżeństwo ma trzy stosunki; do całej ludzkości, do Kościoła i do państwa, któremu daje nowych członków. Dlatego też małżeństwo podlega prawu przyrodzonemu, prawu kościelnemu i prawu świeckiemu. Prawu kościelnemu podlegają wszyscy chrześcijanie jak to wynika z kanonu 1016 nietylko katolicy. ale i akatolicy.

Prawo Kościoła nad małżeństwem ochrzczonych jest wyłącznem, wyklucza więc władzę świecką, której zostawia tylko skutki czysto cywilne małżeństwa. Wyłączność ta ma potwierdzenie jeszcze w tem, że, jak już wiemy, małżeństwo chrześcjan jest sakramentem, a sakramentami administruje Kościół a nie państwo. Z tej też racji do kościoła należą wszystkie sprawy małżeńskie chrześcjan: stanowienie lub znoszenie przeszkód (Kan. 1038), sądownictwo (Kan. 1960) i t. p.

Jeżeli zaś chodzi o skutki czysto cywilne, czyli świeckie, to prawo kanoniczne przyznaje państwu prawo co do małżeństwa chrześcijan, bo nad małżeństwami nieochrzczonych według zdania powszechnego pośród uczonych (doktorów), władza świecka ma zupełną władzę. Chociaż są i przeciwnicy powyższego twierdzenia.

Państwo więc nie ma prawa ustanawiać przeszkód małżeńskich, ani sądzić o ważności czy nieważności tych małżeństw, które z istoty swej podlegają kompetencji Kościoła; nie może i nie ma prawa dawać rozwodów, czy rozdziału od współczesnego pożycia (separatio).

Do państwa więc należą skutki jedynie cywilne dotyczące posagu, majątku, spadków, godności i przywilejów po rodzicach. W tych sprawach państwo rządzi się wyłącznie swoim własnem prawem; może więc te skutki ustanawiać, zmieniać zaprzeczać; w tym celu może nawet wymagać, aby małżeństwo zawarte wobec Kościoła, zostało zapisane w księgach państwowych.

Na zakończenie należy wyjaśnić co to jest małżeństwo cywilne i jakie jest stanowisko Kościoła wobec takich małżeństw. Otóż „małżeństwem cywilnem", nazywa się kontrakt zawarty wobec władzy świeckiej przy zachowaniu tylko przepisów rządu świeckiego ze względu na zdolność osób, przyrzeczenie i formę ślubu. Kodeks prawa kanonicznego gdy mówi o takim kontrakcie, to nie używa nawet wyrazu „matrimonium civile", lecz mówi poprostu: „actus mere civilis, actus tantum civilis". Kan. 1075 n. I).

Kościół takich małżeństw-kontraktów cywilnych nie uznaje za ważne, z powodu braku formy, potępia je i karze. Potępia bo a) władza świecka miesza się do kompetencji kościelnej, sakramentalnej i odziera małżeństwo ze świeżości i sakramentalności; b) państwo przez to czyni gwałt sumieniu wiernych i c) często dopuszcza do związków zakazanych prawem Boskiem i Kościelnem. Dlatego też Syllabus Piusa IX potępia 33 zdania, jakoby ślub cywilny wśród ochrzczonych był prawdziwem małżeństwem. Żyjacych zaś w małżeństwie cywilnem Kościół uważa za konkubinarjuszy.

Takie więc są podstawy prawa małżeńskiego wśród chrześcijan i tych podstaw nikt zmieniać nie może; tymbardziej w kraju praworządnym i katolickim jakim powinna być Polska!

Ks. Dr. A. Marchewka.

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Klasztor P.P. Benedyktynek w Staniątkach.

II.

Potężny ogrom czasu, 7 wieków, przewaliło się nad murami klasztoru w Staniątkach, który był świadkiem całej niemal historji polskiej. Widział on potęgę i chwałę swej ojczyzny, gościł w swych murach jej władców, królów i królowe, świętych Patronów i Patronki;[*]) patrzał też na ból i cierpienia narodu, chwile poniżenia i klęski, i bolał razem z nimi, dzieląc zawsze jego dolę i niedolę. Dwa razy Tatarzy napadali na Staniątki za życia bł. Wizenny: pierwszy raz w 1241 r. jak to widzieliśmy, między bitwą pod Chmielnikiem a klęską pod Lignicą; drugi raz w 1260 r.: wtedy św. Ksieni z całym konwentem musiała uciekać i kryć się po lasach. Tatarzy klasztor zrabowali, ludność okoliczną wymordowali, wsie klasztorne popalili.

W XVII wieku, gdy Szwedzi zalali „potopem" całą Polskę, nie pominęli Staniątek. Biedny lud wynędzniały krył się po lasach, zostawiwszy puste chaty drewniane, które wróg rozbierał na opał. Na klasztor napadali Szwedzi 9 razy, zrabowawszy go do szczętu 1656 r. Dobijając się raz do furty, nie mogąc jej wyważyć, kołowem oknem wcisnęli się do wnętrza, i S. Furtjankę kolbami zabili; ta umierając zawołała: „Witam Cię, św. Ojcze Benedykcie!" i skonała.—Owczesna ksieni, Katarzyna Lubieniecka, ze zgromadzeniem całem musiała uchodzić do Barcic, w okolicy Sącza, niektóre z zakonnic pomarły wtedy z niedostatku, inne ze strachu.

W czasie wojen za Władysława IV Kozacy zajechali raz z próżnemi wozami pod klasztor i zapełniając krzykiem i wrzawą całe podwórze, odgrażali się rabunkiem, jeśli zakonnice nie napełnią im wszystkich wozów żywnością. Gdy klasztor nie mógł nic zadość uczynić, Siostry rzuciły się do modlitwy, prosząc

---

*) Królowie polscy, bywając w pobliskich Niepołomicach, gdzie mieli letnią siedzibę, często odwiedzali klasztor, obdarzając go łaskami i przywilejami; kroniki wymieniają Konrada Mazowieckiego, Bolesława Wstydliwego i błog. Kingę, Jagiełłę i Jadwigę, Zbigniewa Oleśnickiego, Zygmunta Starego, Jana Sobieskiego; a w nowszch czasach: cesarza Józefa II, Franciszka I i cesarzową Karolinę, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, i t. d.

Matkę Najświętszą o ratunek. Kozacy cały dzień koło klasztoru chodzili, radzili; wkońcu, nic mu nie zrobiwszy, z próżnemi wozami wieczór odjechali.

Podczas rozbiorów Polski napływali do klasztoru Konfederaci, rozbitki wojsk polskich, prosząc o wsparcie i ratunek. Przybywali też oficerowie moskiewscy, domagając się żywienia wojska i rozmaitych opłat. Nakładano na zakonnice ciężkie kontrybucje, skonfiskowano większą część dóbr przy podziale Polski, słowem zapanował taki ucisk, że zgromadzenie ledwie w wielkim niedostatku wyżyć mogło.

Strasznym ciosem po rozbiorach była kasata zakonów. Raz po raz dochodziły wieści o skasowaniu nowego jakiegoś klasztoru w Galicji: zabrano już dobra Klaryskom w Starym Sączu, skasowano klasztor PP. Benedyktynek w Jarosławiu, skąd 10 zakonnic znalazło przytułek w Staniątkach. Wreszcie dano znać, że cesarz Józef II osobiście przybywa do Staniątek, zbadać stan rzeczy na miejscu (1787 r.).

„Powitany przez świeckich i duchownych dostojników oraz przez zgromadzenie zakonne, cesarz zwiedził najpierw konwikt, uczennice szkoły szlacheckiej (dziś powiedziałoby się „średniej") wyrażały się poprawnie i dawały wogóle dobre odpowiedzi, co cesarza wprawiło w świetny humor. Gdy następnie zwiedził szkółkę dzieci wiejskich (szkołę powszechną), które również dobrze odpowiadały po niemiecku, był bardzo zadowolony, głaskał je z uśmiechem, a następnie wyjął 12 dukatów i dał prefekcie, aby je rozdzieliła między tę dziatwę i dodał: „że je uwalnia od nauki języka niemieckiego". Na odjezdnem zaś powiedział: „Jakże jestem zadowolony, że mi tego klasztoru nie skasowano!" i przeznaczył nawet pewien fundusz na odnowienie go.

Ciężkie też były czasy wojen napoleońskich: przez Staniątki przeciągały wojska austrjackie i rosyjskie, walczące przeciw Francuzom. Przewożono tędy rannych i kaleki, którzy od klasztoru doznawali wsparcia i pomocy. Żołnierze wynędzniali błagali o żywność, odzienie, opatrunki. Wybuchła potem epidemja, która tak ludność zdziesiątkowała, że nie było komu roli uprawiać. Nastąpił głód i nędza, zwykłe skutki wojny, potem zaraza na bydło, a wreszcie powódź. Wśród tego trzeba było prawdziwie bohaterskiej odwagi i nieustraszonego serca, aby pod

tylu ciosami nie upaść, i nietylko zgromadzenie zakonne utrzymać, ale i lud okoliczny ratować od niedoli.

I znowu przesunął się szmat czasu nad klasztorem staniąteckim, wśród rozmaitych przemian politycznych i społecznych. Nadszedł rok 1846, okropny rok rzezi galicyjskiej. Wzburzone przez rząd austrjacki chłopstwo, zwłaszcza w Galicji zachodniej, napadało dwory i domy, popełniając krwawe mordy i najdziksze bezprawia. W dniu 24 lutego tegoż roku napadła zajadła zgraja na klasztor staniątecki z siekierami, cepami i widłami, pod pozorem, że szukają ukrytych powstańców Polaków, niepomni, że w klauzurowym żeńskim klasztorze nie mogli przebywać mężczyźni. Ksieni Czajkowska, nie chcąc wywoływać gorszych następstw, i bardziej lud drażnić, kazała mu otworzyć furtę. Rozjuszeni chłopi rozbiegli się po całym klasztorze; wpadli do piwnic, do refektarza, na zakonny korytarz, do chóru. Wreszcie wtargnęli do kościoła, gdzie zobaczyli przed wielkim ołtarzem modlących się dwóch OO. Jezuitów, spowiedników Sióstr; powiązali ich i rzucili na wóz; wpadli do mieszkań oficjalistów klasztornych, zrabowali i poniszczyli ich domy, klasztornego sędziego Jantę cepami i widłami na miejscu zabili, innych zaś poranili i pokaleczyli.

Tymczasem zakonnice i konwiktorki modliły się ze łzami w kaplicy M. B. Bolesnej, przed jej cudownym obrazem. I tam wpadła rozhukana tłuszcza. Wtedy Mistrzyni Nowicjatu, nieustraszona bohaterka, wziąwszy do ręki wielki krzyż, wystąpiła naprzód i stanowczym tonem zapytała herszta bandy: „Czego żądacie?"—A tłum chłopów zawołał: „Nie bójcie się dobrodziejki, my wam nic nie zrobimy; my tylko szukamy Polaków!" — „Jakich Polaków? co to są Polacy?"—zawołała, i zaczęła ciemnemu ludowi wykładać, że Polakami są oni sami i że klasztor klazurowy nie ma prawa żadnych mężczyzn trzymać w ukryciu. Tłum cofnął się, wypadł na podwórze gdzie obozował przez 4 dni i 4 noce, aż zdołano sprowadzić oddział wojska, wtedy buntownicy rozpierzchli się na wszystkie strony. Szkody, poczynione na folwarkach klasztornych były ogromne, tak że trzeba było się zapożyczyć dla uratowania istnienia.

Gdy następnie w tych stronach rozpoczął misje ludowe słynny ks. Antoniewicz T. J. i wykazał zbrodnie na niewinnych dokonane, a podniósłszy krzyż w górę przepraszał Boga, błaga-

jąc o przebaczenie dla winowajców, wtenczas szlochanie, łzy i jęki jak grzmot rozlegały się po kościele; wszystkie okoliczne dachy i drzewa pełne były ludzi, tworzących jakby drugie napowietrzne audytorjum. Od tego czasu uspokoili się zupełnie i dziś jest to znowu nasz poczciwy, pobożny ludek polski.

Najstraszniejsza jednak ze wszystkich chwil, jakie klasztor staniątecki przetrwał, były czasy ostatniej wojny, a mianowicie dnie od 8-go do 15-go grudnia 1914 roku, w czasie inwazji rosyjskiej i ośmiodniowego bombardowania klasztoru przez wojska austrjackie. Grozy tych dni żadne pióro opisać nie zdoła, a pojęcie o tem może mieć tylko ten, kto takie chwile przeżył. Ponieważ Moskale rozlokowali się we wszystkich budynkach wokoło klasztoru i w dziedzińcu klasztornym (w samym tylko klasztorze nie byli, bo im wstępu wzbroniła Ksieni, p. Kazimiera Hilarja Szczerbianka[1]), wojska austryjackie, chcąc ich stamtąd wypędzić, obrały za cel swych strzałów wieś Staniątki, a szczególnie klasztor i jego przyboczne zabudowania. Przez 8 dni z rzędu był on w krzyżowym ogniu dział austrackich i rosyjskich, obrzucany niejednokrotnie pociskami z moździeży ciężkiego kalibru; huk armat był tak straszny, że grozą przechodził pioruny; ziemia tak drżała, że klęczących w kościele ludzi z posadzką podrzucało do góry. Klasztor chwiał się poprostu od fundamentów; wypadały szyby, dachówki, waliły się mury, w proch rozlatywały się sprzęty, naczynia, obrazy, bezcenne pamiątki przeszłości. Co chwila słup ognia i dymu wydobywał się z pod sklepień, grożąc pożarem przy wybuchu szrapneli. Do tego rozpacz przerażonych ludzi, którzy w murach klasztoru szukali schronienia, ryk bydła płacz dzieci, brzęk walącego się szkła, rumowiska, woń siarki, ciemność od kurzu, pyłu i dymu—oto obraz burzy, która przez tydzień cały szalała nad klasztorem. Szczytem grozy był piątek 11-go grudnia, gdy pękający granat zabił dwóch OO. Jezuitów, spowiedników zakonnic, którzy się byli schronili do opróżnionego skrzydła klasztoru, gdyż oficerowie moskiewscy zajęli ich domek. Zranienie ciężkie kilku osób i zabicie jednej wiejskiej kobiety dopełnia miary okropności tych dni straszliwych.

Dzielna ksieni Staniątecka, jeszcze przed inwazją rosyj-

[1]) Bardzo ciekawy ustęp z Pamiętnika P. P. Ksieni przedrukowali W. OO. Jezuici w swym „Przeglądzie Powszechnym“, zeszyt 8—9, z 1916).

ską, wszystkie swoje zakonnice rozesłała, chroniąc je w bezpieczne miejsca, sama zaś z jedną tylko konwiktorką, S. Eufrozyną Montwiłłówną, z gospodynią zafurtową i gromadką poczciwych dziewcząt służebnych, pozostała na wyłomie; (z tych ostatnich dwie od szrapneli poranione zostały). Gdy wreszcie dnia 15 grudnia Moskale na całej linji cofać się poczęli, można było skonstatować cały ogrom zniszczenia: 41 pocisków większego kalibru padło na klasztor, samych zaś szyb wybito 1537. Oficerowie austryjaccy, którzy chcąc wypędzić Moskali tak strzelali na klasztor, oglądając później poczynione szkody, sami przyznali iż teraz widzą prawdziwość przysłowia: „Człowiek strzela, a Bóg kule nosi",—gdyż po tych pociskach, które na klasztor miotali, kamień na kamieniu nie powinienby był pozostać!

To cudowne ocalenie zawdzięczają Staniątki bez wątpienia Matce Boskiej Bolesnej, której cudownie słynący wizerunek przechowuje się w starożytnej kapliczce przybudowanej do kościoła: ani jedna szyba w niej nie pękła, pomimo że w pobliżu padł największy granat, i wszystkie okna,—jak wspomnieliśmy, wyleciały. Tu 700 lat temu błog. Wizenna wybłagała opiekę Marji przed tatarską nawałą; tu czasu napadu Szwedów, i podczas rzezi galicyjskiej chroniły się wylęknione zakonnice i konwiktorki; tu i teraz w 1914 r. przez cały czas bombardowania, Ksienia staniątecka wraz z ludem schroniła się do „fortecy" (jak nazywają w chwilach niebezpieczeństwa tę małą kapliczkę) i tam, leżąc na kolanach lub krzyżem, modliła się z nim głośno i śpiewała, błagając ze łzami o zmiłowanie Boże: to też „nie została zawiedziona".

Obraz Matki Boskiej jest prawdopodobnie dziełem włoskiego pendzla (wszak pierwsi Benedyktyni na Tyńcu byli Włochami), współczesny fundacji Staniątek. Malowany jest temperą na drzewie lipowem. Na tle złotem, wyrobionem w desenie, widnieje postać N.P. Bolesnej w otoczeniu czterech Aniołów, dźwigających insygnja Męki Pańskiej: krzyż, słup biczowania, drabinę i t. d. Twarz Matki Bożej, łzami zalana, i zaciśnięte boleśnie ręce są dość ciemne; suknia ciemno czerwona, płaszcz ciemno błękitny; około głowy białe zawicie, a pierś 7 ogromnych mieczy przeszywa. Obraz ten ma wiele podobieństwa z t. zw. „Smętną Dobrodziejką" w krużganku klasztoru OO. Franciszkanów w Krakowie; nic dziwnego, bo fundatorem tegoż był w 1240 r. Bole-

sław Wstydliwy, współczesny Klemensowi z Ruszczy: zatem oba obrazy mogły były wyjść z tej samej pracowni tynieckiej.

Pierwotnie M. B. Bolesna była umieszczona w wielkim ołtarzu; później dopiero, dla racji liturgicznych, zbudowano dla niej osobną kapliczkę; papieże nadali wielkie odpusty i ołtarz uprzywilejowali, wreszcie 21 września 1924 cudowny obraz został uroczyście ukoronowany przez delegowanego przez Stolicę Swiętą Księcia Arcybiskupa krakowskiego Adama Sapiechę. Pokryty jest srebrną blachą i niezliczonemi wotami.

Kościół staniątecki zbudowany jest w stylu gotyckim o wysokiem sklepieniu. Malowidła na sklepieniu przedstawiają papieża Grzegorza IX, za którego pontyfikatu kościół stawiano, z modelem kościoła i kluczami Piotrowemi w ręku, a obok Anioł trzyma otwartą księgę z wypisanemi na niej pierwszemi słowami Reguły benedyktyńskiej: „Venite, filiae, audite me". Dalej na sklepieniu 8 błogosławieństw, na ścianach zaś portrety papieży z zakonu św. Benedykta, obrazy przedstawiające fundację klasztoru staniąteckiego, i t. d.

W wielkim ołtarzu zmieniają obrazy, wedle okresu liturgicznego; największą wartość ma Narodzenie Najśw. Panny, pendzla X. Bernardyna Lekszyckiego, Franciszkanina z XVII-go wieku, zwanego „polskim Fre Angelikiem" †1668 r.). U góry, w barokowej glorji, Trójca Przenajśw. rzeźbiona, otoczona mnóstwem Aniołów. Ołtarz zdobią 4 figury: św. Joachima i św. Anny, Zacharjasza i Elżbiety. Tabernakulum jest srebrne, pozłacane.

Boczne ołtarze poświęcone są: św. Benedyktowi, św. Wojciechowi, N. P. M. Różańcowej, Opatrzności Bożej, św. Józefowi, św. Antoniemu Padewskiemu i św. Janowi Nepomucenowi. Na szczególną uwagę zasługuje ołtarz P. Jezusa Ukrzyżowanego; zawiera on bowiem cudowny krucyfiks, który przemówił do błog. Wizenny i zachował odtąd rozchylone usta, jakby jeszcze miał przemówić.

Kościół staniątecki jest hojnie wzbogacony relikwiami świętych, niektóre znacznej wielkości i bardzo drogocenne. Pięknym jest też chór zakonny, ozdobiony mnóstwem symbolów i wyjątków z Reguły, lub z Psalmów. Pod chórem kaplica, gdzie zakonnice przystępują do Komunji św. ozdobiona symbolami, wy-

rażającemi tęsknotę duszy za Panem Jezusem i piękność dziewictwa.

Pod zakrystją jest grób św. Fundatorów: Klemensa z Ruszczy, małżonki jego Recławy, Wizenny i Dojutrka.

Konwikt klasztorny liczy około 70 uczennic. Od samego początku istnienia Staniątek chowały się tu młode panienki zamożniejszych rodzin i trudno zliczyć, ile przez 7 wieków wyszło stąd pokoleń dziewic i matron polskich, przodujących społeczeństwu pobożnością i cnotą. Obecnie konwikt staniątecki stosuje się do planu nauk wymaganego dla szkół średnich przez nasze władze szkolne i w niczem nie ustępuje innym tego rodzaju zakładom.

Wychowanie młodzieży zawsze należało do tradycji zakonu benedyktyńskiego: wszak Benedyktyni zwani byli „wychowawcami Europy”. Ale najpierwszym i najdroższym ich obowiązkiem jest „Opus Dei”,—„Officium divinum”, czyli nieustanna chwalba Boża w chórze. Siedem razy dziennie, według zalecenia Psalmisty, rozbrzmiewa ona w zakonnych stallach, a o północy, gdy świat cały pogrążony we śnie, a liczni grzesznicy nurzają się w występku, rozbrzmiewa tutaj przy wtórze organów uroczyste Matutinum czyli Jutrznia.

Czcigodny ten przybytek modlitwy i pracy, placówka cywilizacyjna, najpierwszy i najdawniejszy klasztor PP. Benedyktynek w Polsce, zasługiwał, w roku jubileuszowym na bliższe zapoznanie się z nim czytelników.

Z ŻYCIA MŁODZIEZY KATOLICKIEJ.

Działalność „Odrodzenia“ na terenie Poznańskim.

Już z samego charakteru naszej organizacji, katolicko-społecznej, wynika, że praca musi się dzielić na dwie części: pracę wewnętrzną, oraz pracę zewnętrzną, społeczną. Zanim przystąpimy do rozpatrzenia działalności naszej w tym roku akademickim, chcielibyśmy parę słów poświęcić sprawie naszego senjoratu.

Od dłuższego już czasu „Odrodzenie” Poznańskie myślało i debatowało nad tem, aby stworzyć koło senjorów, które by

pracowało na terenie starszego społeczeństwa, oraz współpracowało z Kołem Akademickim i wreszcie udało się nam to osiągnąć. W dniu 23 września 1928 r. odbył się w lokalu „Odrodzenia" pierwszy zjazd senjorów, na program którego złożyły się: Msza święta, obrady dotyczące ruchu odrodzeniowego w Poznaniu, i organizacji koła senjorów, oraz zakończenie zjazdu wspólną herbatką. Pod koniec obrad zostało wybrane prezydjum koła senjorów w skład którego weszli: Mg. J. Gutsche, jako prezes, Dr. Kucharek, jako v-prezes, oraz Mg. Krawczyński jako sekretarz. Należy zaznaczyć, iż nowo obrane prezydjum, b. żywo zajęło się pracą odrodzeniową i bardzo dużo pomogło kołu akademickiemu. A teraz przechodzimy do właściwej działalności koła Poznańskiego. Po walnem zebraniu, które odbyło się w pierwszej połowie października, zarząd zwołał zebranie członkowskie, na którym zostały wygłoszone dwa referaty p. t. „Wychowanie organizacyjne" i „Sprawozdanie z VII Tygodnia Społecznego w Lublinie". Następnie w dniu 21 października z. r. odbyła się uroczysta inauguracja roku pracy odrodzeniowej, której program obejmował, poza przemówieniami powitalnemi, sprawozdanie z rocznej działalności koła, oraz referat senjora Mg. J. Gutschego p. t. „Zagadnienie pracy w oświetleniu ideologji odrodzeniowej". Na Inauguracji tej zebrała się poważna liczba duchowieństwa, oraz społeczeństwa świeckiego, a między innemi zaszczycił inaugurację swą osobą duszpasterz uniwersytecki ksiądz prałat J. Prądzyński, który w swym przemówieniu podziwiał wartości ideowe ruchu odrodzeniowego. Wkrótce po inauguracji odbyło się zebranie dyskusyjne, z referatem jednego z kolegów p. t. „Nasza praca społeczna". Referent starał się przedstawić olbrzymie tereny potrzebujące pracy społecznej, i dowodził konieczności tej pracy. Następne zebranie dyskusyjne z referatem także jednego z kolegów p. t. „Kryzys parlamentaryzmu" odbyło się w listopadzie. Po referacie tym była ożywiona dyskusja, w czasie której dużo spraw uzgodniono i wyjaśniono. I wreszcie ostatnie zebranie dyskusyjne odbyło się w początkach grudnia, na którym wygłosił referat Ks. Dr. Kowalski p. t. „Zasady filozofji św. Tomasza, a życie katolickie akademika". Referat ten oraz dyskusja, jaka się po nim wywiązała dały członkom b. wiele rzeczy cennych i nowych, rozwiązały szereg zagadnień trudnych i wreszcie wyciągnęły praktyczne wnioski i wskazówki.

Wkrótce po tym zebraniu, odbyła się Rada Naczelna „Odrodzenia" w Wilnie, o której przebiegu obrad można znaleźć specjalny artykuł w pierwszym № Prądu ze stycznia b. r.

„Odrodzenie" Poznańskie posiada 5 sekcji: filozoficzną, narodową, społeczną, zagadnień kobiecych i kandydatów, które w pierwszym trymestrze pracowały normalnie, zajmując się i pogłębiając niektóre ważne zagadnienia jak np. sekcja filozoficzna zajmowała się dowodami na istnienie Boga, sekcja narodowa, zagadnieniami narodowemi, rozpatrywanemi na podstawie dzieł X. Dr. Szymańskiego i innych autorów. Sekcja społeczna rozpatrywała Encyklikę Rerum Novarum, oraz zajmowała się sprawami czysto gospodarczemi Polski i wreszcie sekcja kandydatów zajmowała się historją ruchu odrodzeniowego, oraz zapoznaniem się z ideologją naszą, aby po ukończonym kursie, kandydaci zostali przygotowani do wielkiej i pełnej poświęcenia pracy odrodzeniowej.

Pozatem „Odrodzenie" Poznańskie urządza w każdą niedzielę wspólne recytowane Msze św., które odprawia kapelan ks. Dr. St. Abt, aby w ten sposób, przez nauki jakie są w czasie każdej Mszy św. pogłębić i zrozumieć te prawdy naszej świętej wiary katolickiej.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia się obraz naszej pracy wewnętrznej w Poznaniu.

Niebawem w drugim numerze postaramy się przedstawić drugą część naszej pracy, mianowicie pracę społeczną.

Marjan Bronowski.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Gabryel Jehuda Ibn Ezra.— Chrześcijańskiego Żyda wspomnienia łzy i myśli. Warszawa 1928, Dom Książki polskiej, str. 256.

Mamy przed sobą pamiętnik wychrzczonego inteligenta żydowskiego, prawdopodobnie z czasów powstania Polski.

Treść książki jest następująca:

Autor od dziecka mając styczność z religją katolicką, jużto w rozmowach z osobami, z którymi go zetknęło życie, jużto w czynach katolików, pragnie porzucić dotychczasowe swe wyznanie i stać się katolikiem. Przyjąwszy chrzest nawraca rodziców swych i brata, a sam chce wstąpić do seminarjum duchownego. Gdy szykany złych ludzi stają temu na przeszkodzie, obiera zawód prawnika. żeni się z katoliczką i zakłada rodzinę. Dalszy ciąg książki wypełniają dzieje tułaczki jego, tułaczki przymusowej, gdyż wszędzie, gdzie stara się osiąść na stałe spotykają go szykany ze strony społeczeństwa chrześcijańskiego, wszędzie jest nienawidzonym, pomiatanym żydem.

Wobec faktu, że sprawa nawrócenia żydów jest dziś coraz szerzej omawiana, „Wspomnienia", jako domniemany głos żydów w tej sprawie zasługują na szczegółowszą wzmiankę.

Książka ta z natury swej musi być i jest tendencyjną. Autor przeprowadza tu myśl, że społeczeństwo katolickie zapomina o swoich zasadach wobec żydów wogóle a nawet wobec tych, którzy z pośród nich porzucili swe zasady żydowskie.

Nieszczęśliwi wychrzczeni wyjątkowo tylko spotykają się z miłością swoich nowych współwyznawców. Sprawa przedstawia się według autora „Wspomnień" bardzo smutnie i tragicznie.

Na myśl tę możemy się do pewnego stopnia zgodzić—ale bezwzględnie okropności, których opisy w książce znajdujemy, historja nie zna i mimo najbardziej wyczerpującycb źródeł z pewnością nie pozna.

Oto n. p. przed oczami naszemi roztacza się obraz prawdziwej rzezi, która w Polsce, gdzieś, kiedyś miała miejsce, i wśród której padło mnóstwo żydów. „Spiętrzone stosy ich ciał" oglądamy, w zdemolowanej ręką żołnierzy polskich, synagodze.

Ogromnie charekterystyczne jest to, że ani słóweczkiem nie wspomniano o dacie, ani miejscu rzezi. Tego mamy sobie szukać sami. No, ale temu jeszcze możemy się nie dziwić; być może, że komuś po obcięciu brody (co, jak wiadomo, miało miejsce za czasów ciągłych przemarszów różnych wojsk) zrobiło się w oczach czerwono, a mury miasta zachwiały się przed zamglonym wzrokiem...

Nie! stanowczo trzeba zerwać z przesadą, lub może z naiwną wiarą w łatwowierność czytelników, która z pewnością dobrych skutków nie wywoła...

Drugą charakterystyczną cechą książki jest idealizowanie żydów. Autor przedstawia ich nam, jako nieszczęśliwe ofiary, niczem niewinne, wszędzie i zawsze cierpiące nędzę, pętnowane i nienawidzone; ale przedewszystkiem niczem nie winne. Nie tylko bowiem nie stanowią oni elementu rozkładowego w naszem państwie, nie podkopują autorytetu Kościoła, rodziny, nie podminowują etyki i moralności, ale są wogóle dalecy od jakichkolwiek nowoczesnych prądów wywrotowych, jakie się im przypisuje. Tak n. p. nie wywołali oni Rewolucji rosyjskiej, owszem, stanowili i stanowią w Rosji narówni z chrześcijanami ten odłam społeczeństwa, który jest prześladowany, nie prześladuje

Oto jak przemawia do autora „Wspomnień" również jak i on wychrzczony żyd rosyjski:

„Doktorze, Żydzi w ojczyźnie mojej zapełniali czeluście więzień jak ja i setki tysięcy innych i ginęli w męczarniach z resztą szlachetnych ludzi.

— A więc ogół jest źle poinformowany!

— Czy słyszałeś kiedy, doktorze, o Chazarach... którzy w ósmym wieku ery chrześcijańskiej przyjęli judaizm...

. Być może, że tacy „Żydzi" srożyli się wśród ofiar rewolucji".

„Być może" więc, że nawet Chazarowie nie maczali rąk w krwi miljonów; a kto? tego nam nie wyjaśniono.

Autor pragnie tę sprawę wyjaśnić z punktu widzenia Ewangelji, mówi bowiem tak:

„Czyż byłby inaczej głęboki znawca dusz, a także dusz żydowskich, Pan nasz, Jezus Chrystus, mógł wyrzec te znamienne słowa: „Oto prawdziwy Izraelczyk, w którym nie masz zdrady"!

Z tego wszystkiego zaś wniosek:

„A zatem prawdziwych Izraelczyków, ogólnie rzecz biorąc, nie było wśród pionierów terroru i mordów"... (str. 201).

Jest to sprzeczne z najoczywistszymi faktami, a tak zarazem dla nas niespodziewane, że skłonni jesteśmy przypuścić czy bodaj nie dla tej tylko myśli powstała książka cała...

Wreszcie należałoby zwrócić uwagę na to, że ani przez chwilę nie wiemy naprawdę, gdzie autor mieszkał, gdzie studjował, gdzie się nawrócił, nie mówiąc już o tem, że nie wiadomo gdzie i kto tak boleśnie go prześladował. Dziwny to, lub może zręczny sposób określania miejscowości, jako „miejsce mojego narodzenia“ „nawrócenia“ „miejsce zamieszkania mojego dziadka“, lub osób jako „starego majora”, „mojego przyjaciela“ itd. Autor, jak sam zaznacza nie wstydzi się swych przekonań, ani swego powodzenia, a przecież nawet nazwisko na okładce książki jest jakby pseudonimem, bo (znów według słów własnych autora) użyte zostało po raz pierwszy i jedyny. Trochę zdaje się strusi sposób maskowania się został zastosowany.

Przechodząc do oceny książki musimy powiedzieć, że, jakkolwiek pierwszem wrażeniem będzie przyznanie słuszności, co do niektórych myśli, jednakże, ujawniające się w dalszym ciągu książki, dowolna fantystyczna i przesadzona interpretacja prawdy historycznej i zupełny brak krytycyzmu wobec błędów, a co więcej moralnych szalbierstw żydów nie pozwolą nam umieścić książki na półkach bibljotek katolickich, ani dać jej w ręce szerszemu ogółowi.

Powinniśmy raczej ustrzedz społeczeństwo przed lekturą tej książki. Powtarzamy, że co innego jest okazać społeczeńswu żydowskiemu miłość chrześcijańską, a co innego w imię faryzeuszowskiej miłości zamykać oczy na prawdę.

Marjan Jan.

Wiadomości z kraju i zagranicy.

Z etapów ruchu chrześcijańsko-społecznego w Wilnie. W niedzielę dn. 6 go z. m. J. E. Ks. Arcybiskup Metropolita R. Jałbrzykowski dokonał aktu poświęcenia domu i sali Związku Zawodowego żeńskiej służby domowej im. św. Zyty. Uroczystość ta jest wydarzeniem niepośledniej wagi z pośród bowiem kilkudziesięciu chrześcijańskich Związków Zawodowych jest to pierwszy Związek zawodowy,. należący do centrali, który zdobył się na tak wielki wysiłek, jakim jest nabycie własnego domu, którego koszt kupna i restauracji sięga stu tysięcy złotych Całą tę sumę wzięły na swoje barki zrzeszone sługi, płacąc znaczne udziały: po 50 złotych od osoby, w zamian za co mają prawo do zamieszkania i przytułku w razie braku pracy. Obecnie Związek liczy 700 członkiń i prowadzi następujące agendy: biuro pośrednictwa pracy, przytułek dla mniej zdolnych do pracy (starszych), szpitalik dla chorych i rekonwalescentów, hotelik dla bezrobotnych, ochronę prawną sług, jadłodajnię dla inteligencji i pralnię zwykłą i chemiczną.

Życie liturgiczne wśród akademickiej młodzieży wileńskiej. Z inicjatywy i staraniem zarządu Stow. Młodz. Akadem. „Odrodzenie” w Wilnie, przy ścisłem porozumieniu z akademicką Sodalicją żeńską i męską, odbyło się w czwartek dn. 17 bm. zebranie organizacyjne „Autonomicznej Sekcji Liturgicznej” przy „Odrodzeniu”. Wobec licznego audytorjum, złożonego z członków Akadem. Sodalicji Marjeńskiei żeńskiej i męskiej. Stowarzyszenia Młodź. Akadem. „Odrodzenie” i grona gości, wygłosił ks. dr, Antoni Zewosz odczyt o „Charakterze społecznym liturgji”. Mówca wykazał, że dzisiejsze życie religijne jest zanadto przesiąknięte indywidualizmem, sprzecznym z duchem Kościoła, którego wyrazem jest społeczny charakter liturgji. Dlatego potrzeba sięgnąć do źródła modlitwy społecznej, jakim jest liturgja.

Zebrani jednomyślnie zgodzili się na utworzenie „Autonomicznej Sekcji Liturgicznej” przy „Odrodzeniu”, którą kierować będzie prezydjum, złożone z trzech osób. Fachowe kierownictwo objął ks. dr. A. Zewosz.

Bezzwłocznie potem odbyła się pierwsza próba recytacji Mszy św., oraz pierwsza recytacja Mszy św.—w niedzielę dn. 20-go z. m. w akademickim kościele św. Jana.
